Nr. 5. Lwów — Niedziela dnia 6 Stycznia. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Opłatę należy nieść równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ
przyjmuje wyłącznie:
Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie
Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce . . h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo . h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca
Niefrankowanych listów nie przyjmuje

Dziś: | N. | Trzech Króli | S. | Eugeniusza
Jutro: | P. | św. Walentego B. | P. | Bożo Narodzenie

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 7 min. 22
Zachód „ „ 3 „ 40

Długość dnia godzin 8 min. 18
Przybyło dnia od wczoraj 2 min.

Słuszne zaniepokojenie.

Społeczeństwo nasze na Litwie i Rusi zostało mocno dotknięte kilku ostatnimi aktami rządu petersburskiego, sprzecznymi z rozmaitymi wolnościami, o których była mowa w carskich manifestach. Odrzucił ten rząd prośbę o koncesyę na prywatne żeńskie gimnazyum z językiem wykładowym polskim w Wilnie, chociaż w ustawach zasadniczych wyraźnie powiedziano, że prywatne szkoły mogą używać miejscowego języka jako wykładowego; zakazał obradować po polsku Towarzystwom Rolniczym, lubo we wrześniu pozwolił im na to; zakazał używać tego języka nawet na zgromadzeniach przedwyborczych; w Mińsku poczęto zmuszać kupców, aby pozdejmowali szyldy polskie; w Kijowie zamknięto polskie Towarzystwo Oświaty z zapewnieniem, że zakaz ten potrwa tylko przez czas stanu wojennego; chociaż trudno pojąć, co wspólnego ma elementarz polski ze sprawą zwalczania rewolucyi, to jednak można byłoby się pogodzić z takiem łączeniem dwóch całkiem różnych rzeczy, gdyby wiedziano, kiedy nareszcie będzie zniesiony ów stan wojenny w mieście, gdzie on jest zupełnie niepotrzebny, a natomiast zaprowadzony na wsi, gdyż tam hajdamackie wybryki chłopów coraz są częstsze; wszędzie poczęto robić nadzwyczajne trudności teatrom polskim. Śruba rosyanizatorska dotknęła także młode stowarzyszenia sokolskie i to nietylko na Litwie i Rusi, lecz także w Królestwie, gdzie w dodatku, również na czas trwania stanu wojennego poczęto piętrzyć mnóstwo przeszkód Macierzy szkolnej, której statuty zatwierdził kilka miesięcy temu prezydent ministeryum rosyjskiego p. Stołypin.

Wydanie tych wszystkich zakazów w ciągu kilku dni dowodzi, że w Petersburgu powiał jakiś inny prąd, został obmyślony nowy system. Łatwo domyśleć się, jaki. Biurokracya zgniotła rosyjskich rewolucyonistów, potem radykalnych trudowików, następnie kadetów, a rozsmakowawszy się w tej reakcyjnej robocie, położyła ciężką rękę na pierwszem z brzegu stronnictwie prawicy, na partyi pokojowego odnowienia. I to poszło dość gładko. Wprawdzie bojowcy raz po raz wysyłają na tamten świat jakiegoś dygnitarza, przyczem sami zaczęli popełniać samobójstwa, co dowodzi nadzwyczajnej ich zaciekłości, a utrudnia rządowi prowadzenie śledztwa, ale ostatecznie takie mordy nie mogą zrujnować administracyjnej machiny, zatem ona, pełna wiary w zwycięstwo, postanowiła wrócić do rosyanizowania. Wyczerpane okropnemi przejściami, społeczeństwo rosyjskie popadło w apatyę, w tę iście wschodnią gnuśność, którą rosyjscy pisarze przedstawiają jako zasadniczy rys swego narodu. Jest to stan najkorzystniejszy dla biurokracyi. Może ona teraz zginać wszystkich w barani róg i oczywiście nie zwleka z tą robotą. Stąd—wznowiony system „obrusienia".

Chciał zbieg okoliczności, że jednocześnie z tym zwrotem Stolica Apostolska zamknęła długi, bo z górą trzydziestoletni spór z rządem rosyjskim o używanie w kościołach katolickich języków niepolskich. Właściwie w ugodzie Watykanu z rządem carskim powiedziano, że odtąd wolno w dodatkowem nabożeństwie, w kazaniach, śpiewach, podczas katechizacyi, przy ślubach i chrztach używać języka rosyjskiego, ale ponieważ tekst tego układu posłano tylko do dwunastu biskupów polskich, przeto prosty stąd wniosek, że chodzi o przemycenie rosyjskiego języka do polskich kościołów, głównie oczywiście do istniejących na Białorusi. Język białoruski uważają Rosyanie za zepsuty rosyjski, a że zepsutego nie powinni używać ludzie wykształceni, przeto rząd będzie zmuszał xięży do posługiwania się rosyjskim. O tem nikt zgoła nie wątpi na Litwie i Rusi. Mała stąd pociecha, że zgodnie z umową, wszelkie spory biskupów z władzą administracyjną będą posyłane przez biskupów do Rzymu, który będzie rozstrzygał ostatecznie. Mała stąd pociecha dlatego, że każde zażalenie musi biskup posłać na ręce ministra spraw wewnętrznych, który — jeżeli zechce — odeszle je ministrowi spraw zagranicznych, a on dopiero przez rosyjskiego posła przy Watykanie zakomunikuje je Stolicy Apostolskiej. Przy takiej procedurze zawsze lata miną, zanim się rozstrzygnie sporna sprawa, a tymczasem czynownictwo będzie zmuszało nasz lud na Białorusi do używania w kościołach języka rosyjskiego, a mnóstwo xięży, opierających się temu, pocznie gnębić. Tego się obawiają na Litwie i Rusi. Podniesiono już, że język białoruski nie jest literackim językiem i wcale nie ma ustalonych form, co każdemu pozwala dowolnie zbliżać go do rosyjskiego, albo oddalać, a ponieważ Kościół katolicki zawsze jeszcze jest bezbronny w walce z propagandą prawosławia i z presyą czynownictwa, przeto trzeba przewidywać, że się zacznie rosyanizowanie naszego ludu zapomocą Kościoła. Rzecz po prostu tak się przedstawia: co innego Kurya rzymska rozumie przez język rosyjski, a co innego rząd rosyjski; inne intencye były tej Kuryi, a inne owego rządu. Rzecz tedy jasna, że natychmiast muszą powstać zatargi, w których rząd zawsze będzie stroną silniejszą, bo ma władzę, jest na miejscu i będzie się zasłaniał bullą, odczytaną z ambon. Sądzą na Litwie i Rusi, że niedarmo przecież rząd rosyjski pośpieszył się z zawarciem tej ugody ze Stolicą Apostolską, chociaż nowy porządek rzeczy jeszcze się ostatecznie nie ułożył w Rosyi i może być tysiąc razy zmieniony, a jak teraz ze wszystkiego widać, nawet całkiem cofnięty.

Oto są powody, dla których nasze społeczeństwo na Litwie i Rusi przystępuje jutro do łamania się opłatkiem w usposobieniu bardzo przygnębionem.

Pogłoski o spisku w Serbii.

W końcu listopada pojawiły się głuche wieści o spiskach, knutych w Belgradzie przeciw dynastyi Karadżordżewiczów. Napomknął o nich nasz korespondent z Pesztu, donosząc o tajnym zjeździe w Zemuniu wybitnych polityków serbskich, którzy naradzali się nad koniecznością powołania na tron członka jakiejś wybitnej europejskiej dynastyi. Ale to pierwsze doniesienie nazwano w Belgradzie wymysłem. Wkrótce jednak potem *Prager Abendblatt* doniósł to samo, dodając wszakże, że nie ma politycznego spisku, ani wojskowego sprzysiężenia, jeno liczni a wpływowi politycy zjeżdżają się na poufne narady nad beznadziejnem położeniem Serbii i że po odrzuceniu wniosku, aby ogłosić republikę, poczęto się zastanawiać nad zapytaniem, ażali nie prosić króla Piotra o abdykacyę, poczem możnaby, naśladując Rumunię, Bułgaryę i Grecyę, wynieść na tron księcia z obcego rodu. Równocześnie *Indép. Belge* podała telegram z Belgradu o antidynastycznym ruchu, dodała jednak, że spiskowcy różnią się między sobą w kwestyi, kogoby można powołać na tron: Niemca nie chcą, bo się obawiają germanizacyi; czarnogórskie książątko im nie imponuje; na kogoś z domu Romanowów przystaliby, ale wiedzą, że Europa na to się nie zgodzi; chcieliby bogacza i familianta, naprożno jednak szukają takiego, którego kandydatura nie wywołałaby wojny o „serbskie dziedzictwo". Wszystkie te wieści zanotowaliśmy w naszem piśmie, w numerze z 29. listopada. Potem one ucichły.

Lecz teraz znowu zabrzmiały one głośno i naraz w całej Europie. Niektóre niemieckie dzienniki zapewniają, że spiskowcy chcą doprowadzić do unii serbsko-bułgarskiej i na wspólnym tronie tej federacyi osadzić angielskiego księcia z ręki króla Edwarda. Dodają one, że jest to właściwie plan dyplomacyi francuskiej i angielskiej, której chodzi o zaszachowanie trójprzymierza na tym bardzo ważnym punkcie. Aby dla tej myśli pozyskać Bułgarów i Serbów, agituje się między nimi, iż Bułgarya otrzyma Macedonię, a Serbia Bośnię i Hercogowinę. Rzeczywiście podobny projekt pojawił się w paryskich dziennikach, a głoszą, że autorem jego jest serbski poseł w Londynie p. Mijatowicz, przeciwnik dynastyi Karadżordżewiczów. Serbia jest już wrzekomo pozyskana dla tego planu — jej też okazuje Anglia takie dowody łaski, jak naprzykład skontraktowanie wołów serbskich dla angielskich wojsk w Egipcie — ale Bułgarya jest jeszcze niepewna, ponieważ zadawala ją książe Ferdynand. Te wiadomości są szerzone przez ludzi bardzo naiwnych; jakiekolwiek mogą być plany dyplomacyi francuskiej i angielskiej, nie może ona wspólnie pracować nad wywołaniem widma wojny, zwlaszcza w czasach, gdy sprawa marokkańska, lubo już mniej groźna, niż przed paru tygodniami, zawsze jeszcze jest przedmiotem wielkiej troski w Paryżu i Madrycie.

Ale rzeczy dość możliwe znajdujemy w angielskich dziennikach. Wedle nich, stan rzeczy w Serbii tak się przedstawia: Król Piotr musiał, jak wiadomo, usunąć od dworu i rządu wszystkie te osoby, które brały udział w krwawym spisku przeciw Obrenowiczowi, bo posłowie państw zagranicznych nie chcieli się stykać z mordercami. Lecz owe osoby tworzyły jedyne stronnictwo Karadżordżewiczów. Wszyscy inni Serbowie byli albo wręcz przeciwni tej dynastyi, jako ubogiej, po części wynarodowionej, a po części zdegenerowanej, — albo też zupełnie dla niej obojętni. Usunięci od wpływów i urzędów, spiskowcy natychmiast się zwrócili przeciw królowi, któremu dali tron, a on im się odpłacił niewdzięcznością. W ostatnich paru miesiącach, po wielu poufnych zjazdach, przyszło do porozumienia między partyą tych spiskowców, a partyą przeciwną, która wolała Obrenowiczów, a ze wstrętem się odzywała o sposobie ich wymordowania. Do porozumienia przyszło dlatego, że król Piotr nie zadawala nikogo, wszystko się przy nim rozkleja, urzędnicy państwowi lekceważą go, jako człowieka bez zdania i pojęcia o sprawach, a wojsko nazywa go szwajcarskim mieszczuchem; zaś krewni jego prowadzeniem się swojem gorszą nawet bardzo wyrozumiałych Serbów. Porozumienie opiera się na wzajemnie stwierdzonym fakcie, że właściwie trwa bezkrólewie i że koniecznie trzeba je usunąć. Zgodzono się na to, że zmiana powinna nastąpić bez tragedyi. Król będzie proszony o złożenie korony i wyjazd z kraju w sposób taki, jak to uczynił syn króla Wiktora Emanuela II, hiszpański król Amedeusz, poczem otrzyma dożywotnią emeryturę, wynoszącą tyle, co lista cywilna. Porozumiano się także co do tego, że trzeba prosić króla Edwarda, aby zechciał wskazać kandydata na tron serbski. Otóż o tem tak pisze *Pall-Mall-Gazette*: „Oczywiście, dla nas nie jest obojętnem, jaka dynastya zasiądzie na tronie serbskim i od omawiania tej sprawy rząd nasz się nie uchyli, lecz w błędzie są ci, którym się zdaje, że wystarczy proste zalecenie króla Edwarda, gdyż trzeba tu będzie rzucić na szalę cały ciężar naszej mocarstwowej powagi. Wszelka więc oferta serbska, choćby najbardziej ponętna, będzie wzięta pod bardzo gruntowną rozwagę".

Słuszność tej notatki jest niewątpliwa, z tego zaś wynika, że bezpodstawna jest pogłoska, jakoby Anglia już upatrzyła jednego z Battenbergów na przyszłego króla serbskiego. Prędzej można przypuszczać, że mocarstwa poradzą politykom serbskim, aby poprzestali na tem, co już mają, bo to najbezpieczniej.

Korespondencye.

Wiedeń, 4 stycznia.

(Sprawozdanie komisyi Izby panów o noweli przemysłowej. Zmiany poczynione w uchwalonej przez Izbę poselską ustawie. Rozpoczęcie działalności centralnej Kasy oszczędności miasta Wiednia. Sprawozdanie dyrekcyi opery nadwornej o działalności w r. 1906).

(y). Wczoraj pojawiło się drukowane sprawozdanie komisyi Izby panów o noweli do ustawy przemysłowej, która, jak wiadomo, uchwalona już została przez Izbę poselską we wszystkich trzech czytaniach ku ogromnej radości rzemieślników i drobnych kupców w całem państwie, gdyż utrudnia ona ogromnie zakładanie w przyszłości nowych przedsiębiorstw rzemieślniczych i handlowych, a więc tem samem poprawia sytuacyę ekonomiczną tych, którzy tego rodzaju przedsiębiorstwa już posiadają. Tymczasem komisya Izby panów nie zgodziła się na przyjęcie tej noweli tak, jak ją Izba poselska uchwaliła, lecz proponuje poczynienie w niej kilku zasadniczych zmian, wobec czego cała sprawa będzie musiała jeszcze raz wrócić do Izby posłów. W sprawozdaniu komisyi Izby panów podniesiono, że zmiany te musiała komisya przedsięwziąć choćby już z tego powodu, że rząd oświadczył jak najwyraźniej, iż bez tych zmian nie przedłoży noweli do sankcyi cesarskiej.

W trzech mianowicie kierunkach musiano wprowadzić zmiany, jakich rząd domagał się. Po pierwsze co do dowodu uzdolnienia w przemyśle handlowym. Już w toku obrad, jakie toczyły się nad tą sprawą w nieustającej komisyi przemysłowej, wybranej przez izbę poselską, oświadczył rząd stanowczo, że godzi się jedynie na wprowadzenie dowodu uzdolnienia dla handlów towarów mieszanych, kolonialnych, delikatesów i materyałów, tymczasem pełna izba poselska, nie zważając na to, poszła za wnioskiem mniejszości komisyi i uchwaliła dowód uzdolnienia dla wszystkich bez wyjątku gałęzi handlu drobiazgowego. Owóż komisya izby panów zmienia tę uchwałę izby poselskiej i przywraca ten stan, jakiego rząd domagał się, a nadto zaprowadza jeszcze tę ulgę, że postanawia, iż już pięcioletnie zatrudnienie danej osoby w przemyśle handlowym uprawnia ją do otwarcia handlu, w którym wymagany jest dowód uzdolnienia, podczas gdy wedle uchwały Izby poselskiej, dopiero po sześciu latach praktyki można było taki handel otwierać. — Druga ważna zmiana dotyczy prawa sporządzania opakowania na własne wyroby. Wedle uchwały Izby poselskiej, zabronione miałoby być fabrykantom sporządzanie opakowania na ich wyroby, lecz musieliby oni dawać je sporządzać rzemieślnikom, — komisya Izby panów uchyliła jednak to ograniczenie. Trzecia zmiana dotyczy uchwalonego przez Izbę poselską bezwarunkowego zakazu brania miary przez właścicieli magazynów gotowych ubrań, tudzież obuwia. Owóż w tej sprawie proponuje komisya Izby panów taki kompromis: Ci właściciele składów gotowych ubrań i obuwia, którzy prowadzili swe sklepy w dniu 1 stycznia 1907, mają posiadać i nadal prawo sporządzania ubrań i obuwia podług miary, — ci zaś, którzy otworzą sklepy dopiero po 1 stycznia 1907, będą mogli brać miarę tylko o tyle, o ile to jest potrzebne do wyboru odpowiednich towarów z ich składów. Właściciele składów konfekcyi damskiej mogą i nadal brać miarę. Bezwarunkowo zakazane jest właścicielom wszystkich tych składów przyjmowanie jakichkolwiek naprawek ubrań lub obuwia. Inne zmiany, wprowadzone do noweli przemysłowej przez komisyę Izby panów, zawierają bardzo znaczne ulgi dla kobiet, trudniących się krawieczyzną, gdyż postanawiają np. między innemi, że jeżeli taka krawcowa sama trudni się szyciem sukień i nie trzyma ani uczenic, ani pomocniczek, to nie potrzebuje wcale dowodu uzdolnienia.

W staroświeckim budynku przy Wipplingerstrasse, w którym znajdował się dawniej ratusz, zanim przeniesiono go do nowowybudowanego wspaniałego gmachu przy Ringstrasse, rozpoczęła onegdaj swą działalność nowo założona centralna Kasa oszczędności miasta Wiednia. Uzyskanie koncesyi na założenie tej instytucyi uważa słusznie stronnictwo antysemickie za jeden z największych swych sukcesów. W pierwszym dniu urzędowania nowej tej instytucyi miejskiej, ulokowało w niej 550 osób swe składki na sumę 142.388 koron. Pierwszą wkładkę złożył burmistrz dr. Lueger w sumie 1.000 koron. Oprócz tych większych wkładek, przyniosło 331 osób puszki blaszane z centowemi oszczędnościami i wybrano z nich ogółem sumę 4.585 koron i zapisano na książeczki. Gwarancyę za wkładki i regularną wypłatę procentu ($3^{1}/_{2}$%) daje gmina miasta Wiednia.

Ogłoszono właśnie drukiem sprawozdanie dyrekcyi wiedeńskiej Opery nadwornej o działalności artystycznej tej instytucyi w roku 1906. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że ogółem wystawiono w roku ubiegłym na tej scenie 54 oper i 17 baletów. Kompozytorem, którego utwory najczęściej wystawiano, był Wagner, poświęcono mu bowiem 71 wieczorów. Z utworów zaś Wagnera najczęściej, bo 17 razy, wystawiono „Lohengrina", następnie idą kolejno „Meistersingerzy" 9 razy, „Latający Holender" i „Tannhäuser" po 8 razy, inne zaś opery po 3, 4, 5 lub 6 razy. Po Wagnerze najwięcej wieczorów zajął Mozart, bo 45, a po Mozarcie Verdi, 31. Z Mozartowskich oper wystawiono „Uprowadzenie z seraju" 16 razy, „Don Zuana" 9, „Wesele Figara" 11, a „Flet czarodziejski" 11 razy, z Verdiego zaś oper najczęściej dano „Aidę", bo 12 razy. Dzieła innych kompozytorów wystawiono zaledwie po parę razy.

„Cud św. Januarego" w karykaturze socyalistycznej.

P. Adam Darowski pisze z Rzymu do *Kuryera Warszawskiego:*

„Epizodem wielkiej wojny, jaką toczy socyalizm z Kościołem", jak się wyraził tutejszy mówca socyalistyczny p. Romualdi, było wczorajsze przedstawienie, dane przez socyalistów, skutkiem zapowiedzi z ich strony, że „Cud św. Januarego" pokażą u siebie, w swoim domu ludowym w Rzymie.

Kto był w Neapolu, zrozumie, o co chodzi. W katedrze św. Januarego w Neapolu (święty ten jest patronem miasta) znajdują się przechowane w skarbcu, w relikwiarzu starożytnym, dwie małe ampułki szklane, szczelnie zamknięte, jedna okrągła, druga podłużna, zawierające, według podania, krew świętego, który za cesarza Dyoklecyana, w początkach IV-go wieku, umęczony był w Pozuoli. Skrzepła krew, przechowana w tych ampułkach, ożywia się, staje się płynną dwa razy do roku, dnia 1-go maja i d. 19-go września, podczas uroczystego nabożeństwa w katedrze. *San Genariello* drogi jest bardzo ludowi neapolitańskiemu, i obadwa jego święta obchodzone są jako może największe dwa dni w roku. Miałem i ja sposobność—nawet dwa razy — być podczas spełnienia się „cudu", widziałem katedrę neapolitańską, nabitą szczelnie, w powietrzu dym z kadzideł ar-

---

11)

Stefania Marsowa.

Listy do Ciebie...

(Ciąg dalszy).

16 stycznia.

Taki zdenerwowany wróciłeś z Paryża — skarżyłeś się, że nie znosisz drogi — że cię męczą te wszystkie szukania mieszkania, pertraktacye z ludźmi — to nieustanne bieganie to za tem, to za tamtem.

Przynajmniej w nagrodę jedną dobrą wiadomość zastałeś, a mianowicie, niespodziewany zapis jakiegoś prawie nieznanego, bogatego stryja — który umarł, a tobie znaczny majątek zapisał.

Mówiłeś to z twą zwykłą, w złych dniach na wszystko obojętnością — i dodałeś, że teraz nie potrzebujesz na nic czekać — i że należy się rozmówić stanowczo z mym mężem, i rozpocząć kroki rozwodowe.

Tak obojętnie to mówiłeś.

Siedziałam nieruchomie, i ja zdenerwowana ogromnie, a zmęczona jak zwykle, niezdolna z siebie wydobyć jednego słowa, w chwili, gdy to marzone, tak upragnione, wytęsknione szczęście stawało przedemną.

U mych stóp leżały dwie żółte róże — dwie herbaciane róże, które ci dałam odpięte od mego futerka.

Wziąłeś je niedbale, a potem wysunęły ci się przypadkowo na ziemię.

Zabolało mnie to — miałam wrażenie, że to ja leżę tak marnie, niedbale rzucona na ziemię.

I nagle zaczęłam ci mówić, żem taka ogromnie zmęczona i słaba — że moje życie gdzieś ucieka, a nie umiem go zatrzymać, dla ciebie zatrzymać — i żem taka bezradna i samotna.

— Moja droga Elu, ja także jestem zdenerwowany i z pewnością więcej, jak ty — tyle miałem kłopotów i trudów — i takim przemęczony — czuję, że już teraz nic nie potrafię zrobić! Cała moja *bonne fortune* została tam — na południu — tak tu szaro i smutno w tym Wiedniu!

— Tak? — próbowałam żartować z dziwnym kurczem serca — więc twoja królowa już nic nie znaczy?..

Pieszczotliwie położyłeś mi głowę na piersiach.

Nie mów tak Eluś! bez ciebie byłoby już całkiem źle — ale i tyś taka inna — taka inna!...

Nie umiałam odpowiedzieć.

Tak ja jestem inna — a on takiej innej nie chce — szaro mu i smutno — a ja nie mogę, nie umiem wykrzesać z siebie dawnych uśmiechów i wiary.

Siedziałam jeszcze chwilę — ty Stenie chodziłeś po pokoju — milczeliśmy oboje.

Wreszcie wstałam — nie zatrzymywałeś mnie dzisiaj. Spytałeś dla zwyczaju, kiedy jutro przyjdę — a potem zamknąłeś za mną drzwi.

Na schodach poczułam, że coś się plącze w fałdach mej sukni. — Uniosłam ją trochę.— Na brudnym kamieniu leżały dwie zmięte, żółte herbaciane róże...

20 stycznia.

Byłam dziś na pogrzebie Władka. Umarł nagle, niepostrzeżenie — zgasł — ale przy śmierci jego była Anka.

Śmierć jego była dla mnie takim tępym, bolesnym ciosem — odczułam ją tem silniej, bo głęboko utkwiła mi w sercu dobroć jego z mych jedynych odwiedzin w ciągu jego choroby. Nie wyrzucam sobie, że nie bywałam częściej — nie byłaby mu chyba żadną ulgą, ani rozrywką moja zmęczona twarz. — Ale mi go tak żal!... takie biedne, młode, złamane życie...

Nie chcę mówić zmarnowane...

A zresztą — i jego „szkoda było dla życia".

Opowiedziała mi Anka z bladą twarzą i suchemi oczyma, że śmierć miał lekką.

Umarł szarą godziną. — Nie chciał, by zapalano lampę — nie spodziewano się tak szybko śmierci, więc Anka siedziała przy nim w mrocznym pokoju, on trzymał jej rękę i milczeli.

W kuchence krzątała się za czemś jego ciotka.

Nagle poprosił Ankę, by go pocałowała — a powiedział to głosem pełnym tak bezmiernego błagania, że Anka bez namysłu pochyliła się nad nim i położyła swe usta na jego spieczonych wargach.

Potem on podniósł jej rękę do ust — a po chwili położył ją sobie na czole.

Po jakimś czasie jego dłonie osunęły się. Anka myślała, że usnął, więc nie odejmowała swej ręki z czoła — ale zauważyła, że to czoło chłodniało stopniowo — i, że jej ręka wilgotnieje jakimś chłodnym potem.

Niepokój ją ogarnął — podniosła się cicho i poszła do ciotki. Poprosiła o lampę. Gdy światło padło na martwą twarz Władka, wiedziała już, że nie żyje.

Za trumną szła stara, biedna, zgarbiona staruszeczka, jego ciotka — płakała cicho. — Anka bardzo blada i bardzo spokojna, ty, ja i garstka obcych ludzi.

O zmroku już byliśmy na cmentarzu — padał miękki — cichy śnieg ogromnymi płatami. — W kilka chwil zasypał śnieg świeżą mogiłę i odeszliśmy Władka — biednego Władka, tam w tej martwej, szarej ziemi... Wreszcie to umęczone serce odpocznie pod tym chłodnym, białym całunem.

Przed cmentarzem Anka pożegnała się z nami krótko i wsiadła do powozu. Ty chciałeś iść trochę piechotą — podałeś mi rękę.

Szliśmy milcząc, oboje bardzo zgnębieni.

Na zachodzie, na ciemnem niebie gorzał jeden krwawy pas — latarnie zdawały się żółtymi punkcikami przy tej gasnącej łunie. Nie wiem czemu mi się zdawało, że Władek jest tam, za tą zachodnią zorzą — dziecinna myśl mi przeszła, że to niebo, a biedny Władek spowiadał się parę dni przed śmiercią i jest w niebie. Zdawało mi się, że patrzy stamtąd na nas swemi smutnemi, ciemnemi oczami...

Nie bałam się — ale tak mi było dziwnie....

Milcząc, rozstaliśmy się Stenie... Obojgu nam było tak bardzo nieswojo...

21 stycznia.

Byłam dziś ostatni raz u ciebie przed twym wyjazdem do Paryża.

Nie wiem, czemu mnie to pożegnanie tak szalenie bolało. Przecież to ostatnie rozstanie — a potem będziemy razem — już na zawsze — na zawsze razem.

Te kilka godzin u ciebie przesiedziałam, trzymając się ciebie niemal kurczowo. Łzy, duże, gorące łzy, płynęły jedna za drugą i nie byłam w stanie ich powstrzymać.

Tyś, tak serdecznie kochanie mnie uspokajał — a raczej nie uspokajałeś mnie — tuliłeś mnie tylko do siebie i całowałeś lekko włosy, oczy, usta.

Mówiłeś, że będziesz długie listy pisał — i żebym ja pisała często — i żebym była znowu wesołą i zdrową jak dawniej — ale czułam w nerwowem drganiu twego głosu, że i ciebie to pożegnanie więcej wzrusza, niż chcesz okazać.

Nie zapalałeś lampy — kominek wygasł, i tylko światło księżyca padało bladą smugą w okno.

Wreszcie wybiła siódma — trzeba było odejść.

Rzuciłam ci się na szyję szlochając rozpaczliwie. — Nie mogłam się wprost oderwać od ciebie.

Trzęsłam się zgorączkowana jak w febrze. — Nie chciałeś mnie puścić samej. — Sprowadziłeś mnie ze schodów — a potem wsiadłeś ze mną do karetki i odwiozłeś do domu.

Wiedeński fiakier jechał z fantazyą, a ja chciałam krzyczeć i błagać, by jechał wolno...

Coraz bliżej ta ostatnia chwila — coraz bliżej — z jednej ulicy skręcamy w drugą.

— Stefanie — Stefanie — powtarzałam tylko drżącemi usty.

Tyś nic nie mówił — ale w oczach twych kręciły się łzy.

Wreszcie stanęliśmy przed domem. Ostatni, szalony, rozpaczliwy uścisk — i weszłam na schody — tyś wyszedł za mną — i pierwszy raz stałeś tak nieostrożnie w tym domu — u dołu, patrząc za mną, aż zniknęłam ci na zakręcie piętra.

Nie zapomnę nigdy tej twojej jasnej twarzy wzniesionej ku górze — uśmiechniętej mimo łez w oczach dla dodania mi otuchy.

Gdy usłyszałam twe kroki zmierzające ku wyjściu — stanęłam.

Cicho.

I nagle zbiegłam jak szalona, krzycząc głośno: „Stefanie!... Stefanie!..."

Ale z bramy ujrzałam już tylko odjeżdżający powóz. Krzyk zamarł mi na ustach, i stałam tak, stałam długo — łzy marzły mi na twarzy, a ja stałam i patrzyłam za odchodzącem mem szczęściem...

(Dokończenie nastąpi).

cybiskupa celebrującego Mszę świętą z pompą, która przypomina epokę, kiedy Hiszpania nadawała ton w Europie, śpiewy, modły ludu, rybaków, litanie na cały głos odmawiane, nawet od czasu do czasu naiwne wymyślania przez lud świętemu, kiedy krew w ampułkach nie chce się prędko rozpłynąć. Na wielkim ołtarzu stoi popiersie złocone św. Januarego, z nałożoną mitrą biskupią, a obok, koło świec, widać relikwiarz z ampułkami. Jeżeli do końca Mszy krew się nie ożywi, wtedy, jak mówi lud, wielkie nieszczęście czeka Neapol...

Nie wiadomo, co o tem wszystkiem myśleć. Zdaje się, że „cud“ zaczął odbywać się dopiero od XIV-go wieku, a więc blisko w tysiąc lat po śmierci męczennika. Kościół nie przywiązuje wielkiej wagi do tego objawu, ale go nie znosi, dlatego, aby w ludności nie wzbudzić niezadowolenia i aby utrzymać stary zwyczaj. Może być, że wolałby, aby zabytek ten niemal średniowieczny poszedł w zapomnienie, ale, jak dotychczas, zostało wszystko, jak było przed sześciu wiekami. Nie można nawet ręczyć, czy „cud“ ten nie został wprowadzony ze Wschodu przez greckie duchowieństwo z Konstantynopola. Dość, że pierwsze wzmianki o tym „cudzie“ należą do wieku XV-go. Według podania, jakaś wdowa miała zebrać krew świętego biskupa w ampułki.

Secyaliści rzymscy, wojujący z Kościołem, ogłosili w Rzymie, iż „cud św. Januarego“ pokażą u siebie. Jest tutaj w Rzymie, niedaleko Koloseum „Dom ludu“ (Casa del popolo), obszerny budynek z wielką salą, przeznaczony na wiece socyalistyczne.

Sala duża, mogąca pomieścić 1500 osób, trochę naga, jak zbór protestancki, wypełniła się szczelnie ciekawymi. Prasa wysłała także swoich przedstawicieli. Mnóstwo osób poszło, aby zobaczyć „szopkę“ i usłyszeć mowy, jakieby przy tej sposobności wygłoszono. Jakiś chemik z południowych Włoch podjął się urządzenia cudu w tych samych warunkach, w jakich odbywa się w Neapolu.

Zamiast ołtarza jednak stał stół na trybunie z czterema świecami, a pomiędzy niemi jakby relikwiarz, zawierający jedną ampułkę ze stwardniałą krwią — jak objaśnił ów inżynier — cielęcą.

W sali tłum jest niespokojny, widzę dużo twarzy zadzierżystych, sami socyaliści, a może nawet wielu anarchistów. Wobec swobody, wolności, jaka tutaj panuje, rząd włoski nie miesza się do tych demonstracyj wolnomyślnych, a bardzo często i bluźnierczych, tylko pilnuje porządku i wysyła ajentów policyjnych, przebranych po cywilnemu. Ale faktycznie burzliwe żywioły przemagają w sali, i gdyby nie włoska delikatność w obejściu, nie wyłączająca jednak gwałtowności, rychło przyszłoby do bitwy.

Demonstracya rozpoczyna się od gwałtownej mowy pana Romualdi z dziennika socyalistycznego *Avanti* (Naprzód), który uderza na papiestwo, na Kościół, na religię, na xięży, grzmi obelgami i przekleństwy i z ubocza, w mowie swojej, także zaczepia monarchię i dynastyę... Nikt mu nie przerywa, tylko słychać z tłumów albo grzmiące oklaski, krzyki zadowolenia, kiedy silnie wymyśla, lub gwizdanie jakby szeregu lokomotyw, kiedy zaczyna wymieniać wrogów socyalizmu. Wpada on w entuzyazm, kiedy mówi o Francyi, która wypędza zakony, a teraz wypędziła ostatniego urzędnika papieskiego z nuncyatury (ryki i oklaski), a piętnuje rząd włoski, ministra Giolittego, który toleruje papiestwo i xięży (gwizdanie na kluczach i specyalnych gwizdawkach).

Po nim wchodzi na trybunę Padrecca, redaktor tygodnika socyalistycznego *Asino* (Osieł), witany entuzyastycznymi okrzykami: Niech żyje osieł! Padrecca, jak i jego poprzednik, nie żałuje frazesów górnobrzmiących, retorycznych zwrotów, fałszowań historyi i opowiada o „oszustwach pobożnych“. Dawniej Jowisz rzucał piorunami, a myśmy na te pioruny znaleźli piorunochron! W jego mowie, jak i u tamtego, widać ciągłe łamańce dyalektyczne, złą wiarę, blagę obliczoną czy to na łatwowierność adeptów socyalizmu, czy na ich łatwą aprobatę, zapewnioną zresztą z góry. Słuchacze wyją z zadowolenia, ryczą z oburzenia przy jaskrawszych zwrotach potępienia Kościoła, gwiżdżą i klaszczą, według potrzeby.

Nareszcie, po drugiej mowie, wnoszą kopię relikwiarza z ampułką na stół. Pan chemik zaczyna objaśniać „technikę cudu“. Powiada, że krew musi się ożywić w gorącu świec i na ten temat przyrodniczy — ale mocno po dyletancku, opowiada o ceremoniach w katedrze w Neapolu. Trwa to blisko godzinę, czekamy, ale — krew się nie ożywia. Więc pseudo-relikwiarz jedną ampułkę, przybliża do świec, ogrzewa, przewraca na różne strony — krew się jednak nie ożywia.

Na sali gwiżdżą. Grozi katastrofa.

Publiczność zaczyna się mocno niepokoić. Już jest jedenasta godzina w nocy, demonstracya trwa dwie godziny, a „cudu“ jak niema, tak niema. Jakiś chemik, który oświadcza, że jest wierzącym katolikiem, odzywa się z tłumu, że taka produkcya nie jest wcale naukowa, że przypalanie ampułki nad świecą, obracanie jej, nie powinno być dopuszczone i żąda, aby próbę zrobiono jeszcze raz, ale systematycznie i to z kontrolą.

Wrzawa na sali coraz większa, jest obawa bójki, bo polemika i dyskusya mogą skończyć się awanturą na noże i pięście. Na powtórną próbę socyaliści się nie godzą.

Ale włoski zdrowy rozsądek i poczucie wiary (które niezaprzeczenie są na dnie każdej duszy włoskiej!) przemagają. Nie ma bójki. Nareszcie, po długich manipulacyach, ogrzewaniu ampułki, ścięta krew w szkle rozprysnęła się! Brawo, okrzyki i — wycia radości.

Tłum intonuje „Hymn robotników“ i „Międzynarodówkę“ francuską.

Obeszło się bez bitwy — wszyscy zadowoleni: mówcy socyalistyczni ze swojej swady i krasomówczego popisu, obcy zadowoleni, że się „szopka“ skończyła, socyaliści, że „cud“ został — „zdemaskowany“. Wprawdzie to „zdemaskowanie“ nie udało się, ale i tak są zadowoleni, kiedy „nawymyślano porządnie“, wszyskim wrogom Henryka Ferrego, przywódzcy włoskich socyalistów, i wogóle całemu dzisiejszemu ustrojowi społecznemu.

Co i o czem piszą.

Z powodu paru ostatnich sprzedaży majątków ziemskich na parcelacyę w sposób zupełnie nieusprawiedliwiony, wskutek czego powstało w całym kraju powszechne oburzenie, wypowiada *Gazeta narodowa* następującą, bardzo słuszną uwagę:

Handel ziemią dalej się odbywa w naszym kraju i co miesiąc się słyszy o nowych transakcyach mniejszych i większych, dokonanych lub dokonać się mających. Sprzedają ziemię na parcelacyę lub w żydowskie ręce tacy, którzy przyciśnięci są rzekomą koniecznością, i tacy, którzy pozbywają się jej jedynie dlatego, że im dobrą cenę ofiarowują. Przeciw tego rodzaju różnym sprzedawczykom społeczeństwo nasze będzie musiało wystąpić z całą stanowczością i energią. Nie można pozwolić na to, aby to, co jest niejako podstawą bytu narodowego, stanowiło jedynie przedmiot handlu i dorywczych zysków. Kilkodziesięcioletnie zabiegi społeczeństwa i praca około rozwoju narodowego nie mogą być skonsumowane przez nieliczne jednostki, pragnące wyższych dochodów, aniżeli daje ziemia. Sprawa rozwielmożnionego obecnie u nas handlu ziemią jest nader ważna i Rada narodowa, powołana ku obronie w ogóle interesów narodowych, będzie musiała zająć się tą sprawą z całą bezwzględnością.

Salve aeternum.

Godzina śmierci to skrzydła anioła,
Co niosą duszę w krainę wszechbytu,
Godzina śmierci to gwiazda u czoła,
Zerwana z niebios jasnego błękitu,
Godzina śmierci to płomień co błyska
Z ofiarnej lampy i w górę wytryska,
Tak dusza, kończąc sen życia, sen świata,
Porzuca więzy i w wieczność ulata.

Wieczność to słońce, a dusza to promień
Na świat zesłany ze światła ukrycia,
By świecił chwilę wśród istnienia fali,
A gdy przeminą wiry oszołomień,
I gdy się prześni sen ziemskiego życia,
Promień nie gaśnie, lecz w szczęścia jasności,
Powraca w słońce wieczności.

Czem wobec życia w wszechbycie
Świat cały i ziemskie życie?
Czem żary, ognie miłości,
Wobec wieczności?
Pył to, — iskra, — gwiazda blada
Która spada —
Leci, — błyśnie, — spłynie w jaśnie, —
I gaśnie.

Wszystko w świecie cel swój ma
Każdy atom, każda łza.
Świeci ku nam jutrznia złota,
Nad rozstajem ziemskich dróg,
Wieczność celem jest żywota,
A wieczności celem: Bóg.

Znikła ziemia,
Znikło życie,
Duch mój nurza
Się w błękicie,
Błękit pije,
W niebie żyje,
W upojeniu,
Zachwyceniu,
Przez przestworza
Jasne płynie,
By w wieczności
Żyć głębinie.

Zerwane więzy ziemskiego żywota!
Zagasła iskra, lecz płomień już świeci!
Minęła męka, minęła tęsknota,
Duch mój wyzwolon do wieczności leci.
Witaj o śmierci! Bądź błogosławiona!
Witaj o szczęście, co świtasz w wszechbycie!
Bo oto z chwilą, kiedy ciało kona,
Duch bierze skrzydła — wstaje nowe życie!
Witaj, o śmierci! Bądź błogosławiona!
Na twojem czole światłości korona,
Na twojem czole
Gwiazdy w pólkole!
Nademną Stwórca Bóg
W orszaku aniołów sług,
Pieśń pochwalna grzmi jak dzwony:
Pochwalony! Pochwalony!
W złotych skrach,
Cherubów chór,
Daje wtór,
A z za chmur,
Gdzie gwiazd srebrna łuna płonie,
Tam gdzie błyszczą świateł tonie,
Gdzie ognista lśni pożoga,
Widzę Boga!
Na horyzontach świata,
Oparłam skrzydeł końce,
W słońce wieczności duch wzlata,
I patrzę w słońce!

Witaj przedwieczny, wiekuisty Panie!
Witaj o Stwórco nad Świętymi Święty!
Oto zwalczone piekielne otchłanie,
I cud się iści nigdy nie pojęty.
Duch mój już wolny od więzów tej ziemi,
Pochwalnym śpiewem ciszę rozpromienia,
Przecina przestwór skrzydły anielskiemi,
I do początku powraca istnienia.
W promieniu łaski dziwnie mu słonecznie,
Niebo doń w szczęściu ramiona otwiera,
Bo w nieśmiertelnem pięknie żyjąc wiecznie,
Stanie się pięknem, które nie umiera.
Ave Najświętszy! Ave Wiekuisty!
Przedemną życie i wieczności droga,
Duch mój swobodny i jak śniegi czysty,
Wraca do Stwórcy, do swojego Boga!
Niech się przed Tobą korzy ziemia cała,
Niech ludzkość woła w pokorze i skrusze:
Chwała Ci Boże, po wiek wieków chwała,
Żeś stworzył światu nieśmiertelną duszę!
Wierzę w istnienie wieczne, wiekuiste,
I w nieśmiertelność wierzę doskonałą,
Bo bez tej wiary, o Stwórco! o Chryste!
Bezkresną śmiercią życieby się stało!
Duch mój zbawiony, jako ptak szybuje,
Na skrzydłach śnieżnych niby mgła zaranna,
Jedynem słowem wita i miłuje,
I jednem wielbi: hosanna! hosanna!
Widzę na gwiazdach anioła miłości,
Duch wolny leci ku życia cysternom,
Chwała Ci Stwórco! Witaj o światłości!
Salve aeternum!

Grudzień 1906.

Aniela Glogierówna.

Delegacye.

Budapeszt. Minister wojny gen. Schönaich: Ze względu na poczynione tu uwagi, pozwalam sobie oświadczyć, że całkiem jest wykluczone, ażeby arcyks. Ferdynand w jakiejkolwiek nielegalnej formie rozporządzał choćby jednem żołnierzem stanu prezencyjnego armii. Wprawdzie ubiegłego roku wysłano do Konopiszt pionierów, jednak stało się to z powodu katastrofy powodzi, będącej wydarzeniem, w którem każdej gminie, bezwarunkowo, udziela się zawsze pomocy wojskowej. (Żywe potakiwania).

Del. Stein: Po oświadczeniu ministra nie podtrzymuję wczorajszych zarzutów. Ubolewam również, że dałem się porwać uniesieniu wobec prezydenta delegacyi, którego kierownictwu nie mam nic do zarzucenia. Dalej mówca polemizował z przemówieniem delegata Schönborna i na podstawie protokołu posiedzenia dowodził, że Schönborn mówił o rzeczach, nie należących do delegacyi. Wobec ciągłego cytowania w delegacyach katechizmu, mówca kupił sobie jeden jego egzemplarz i cytując zawarte zaraz na pierwszej stronie pierwsze z dziesięciu przykazań, zapytał, czy to jest w jego duchu, że w katolickich kościołach znajdują się liczne obrazy świętych?

X. Pastor: „Pan się na tem nie rozumiesz!“ Mówca cytował następnie przykazanie o święceniu dnia świętego i zarzucił, że delegacya zgrzeszyła przeciw temu przykazaniu, gdyż otwarcie jej nastąpiło w niedzielę. Następnie odparł zarzut, jakoby mieszał się w wewnętrzne sprawy Prus.

Del. Stein zabiera znowu głos i oświadcza, że Polacy powinni się opamiętać i zmienić swoje własne postępowanie wobec swoich pobratymców-Rusinów. Polacy w Galicyi ani Niemcom, ani swoim pobratymcom Rusinom nie dają tego, czego dla siebie domagają się w Prusiech.

Del. Einstimmer domagał się reformy wojskowej procedury karnej i sprawiedliwego traktowania przemysłu drobnego w dostawach wojskowych.

Del. Steiner przemawiał przeciw administracyi wojskowej, która poczyniła nowe koncesye Węgrom na niekorzyść Austryi.

Del. Kozłowski oświadczył, że nie chce wdawać się w polemikę ze Steinem w sprawie katechizmu, a ograniczy się tylko do protestu przeciw naruszaniu jego religijnych i narodowych uczuć, i do stwierdzenia, że nigdy nie przyszło żadnemu Polakowi na myśl naruszać religijnych i narodowych uczuć drugich. Wywody Steina były przekręceniem nauki Kościoła. Religia i patryotyzm są najpiękniejszymi kwiatami ludzkiej duszy. Należy szanować u innych to, co się szanuje w głębi własnej duszy. O upośledzeniu Niemców w Galicyi nie może być mowy. We Lwowie istnieje niemieckie gimnazyum. Sejm subwencyonuje szkoły ewangelickie, a również w kraju są niemieckie szkoły ludowe tam, gdzie ich potrzeba. Co się tyczy porównywania położenia Rusinów w Galicyi z położeniem Polaków w Prusiech, musi mówca stwierdzić, że prawie połowa wszystkich szkół ludowych w Galicyi jest ruska, co w stosunku liczebnym ludności jeszcze korzystniej przedstawi się dla Rusinów.

W Prusiech nie mają Polacy ani jednej szkoły ludowej z polskim językiem wykładowym; nauka religii bywa im wykładana w języku niemieckim, a nawet dla prywatnej nauki język polski jest zabroniony. W Galicyi jest sześć ruskich gimnazyów, a polskie gimnazya z jednym tylko wyjątkiem są wszystkie bardziej przepełnione, aniżeli ruskie. — W Prusiech Polacy nie mają ani jednego gimnazyum z polskim językiem wykładowym. Na uniwersytecie we Lwowie istnieje utrakwistyczny wydział teologiczny i 6 ruskich katedr. W Prusiech nie mają Polacy ani jednej polskiej katedry uniwersyteckiej. Polacy w Prusiech byliby bardzo szczęśliwi, gdyby otrzymali takie prawa, jakie mają Rusini w Galicyi.

Na tem posiedzenie zamknięto.

Wypadki w Rosyi.

Warszawa. Około godziny 7 wieczorem z koszar żandarmeryi przy ulicy Ciepłej wysłano dwóch szeregowców, nazwiskiem Fedorowa i Prudniewa, z obiadem do zarządu żandarmeryi gubernialnej. Przy ulicy Grzybowskiej i Gnojnej spotkali jakichś czterech ludzi, dążących od ulicy Ciepłej. Gdy żołnierze rozminęli się z owymi ludźmi, żandarm Prudniew mimowoli obejrzał się, a to samo uczynili owi ludzie, lecz w tej chwili, jakby na komendę, wydobyli z pod paltotów rewolwery i dali do żandarmów trzy salwy. Obaj żandarmi padli na ziemię: Fedorow zabity na miejscu strzałem przez krzyż w serce; Prudniewa kula trafiła w szyję, przebijając przełyk pokarmowy i wyszła, druga zaś kula zraniła mu nogę. Mordercy oczywiście uciekli, a przechodnie na odgłos salw rewolwerowych rozpierzchać się poczęli na wszystkie strony. W tej chwili w ulicę Gnojną i Grzybowską wpadła kawalerya i zaczęła rąbać szablami przechodniów. Niejaki Wulf Hersz Kogel (lat 38) otrzymał trzy śmiertelne cięcia szablą w głowę i zmarł na rękach lekarza Pogotowia. Józef Jackowski (lat 29) otrzymał ciężkie rany; wreszcie poraniono jakiegoś 18-letniego żydka i Binę Bleichholcównę, służącą. Policya i wojsko po wypadku tym dokonywały rewizyi w przyległych domach, zamieszkałych przez żydów.

Pułtusk. Sąd wojenny skazał na śmierć przez rozstrzelanie Aleksandra Makowskiego za napad bandycki na właściciela cegielni we wsi Komarów, Jankla Jakubowicza, którego wtedy zamordowano, a śmiertelnie poraniono jego córkę. Udział w napadzie brali już rozstrzelani niedawno Tomasz Czechowicz, Stanisław Liskiewicz i Adam Ziółkowski. Makowskiego rozstrzelano onegdaj.

Kazań. Rankiem do lokalu biblioteki stustudenckiej, w której znajdował się kasyer Sołowiew, dr. Michajłowskij i docent Worms, weszło pięciu bandytów zbrojnych w browningi i zaczęło strzelać. Ciężko raniono Michajłowskiego, lżej Wormsa i Sołowiewa. Ten ostatni strzelał także i zranił jednego z napadających. Aresztowano go, ale nazwiska swego nie chce wymienić. Rabunek nie udał się bandytom, gdyż woźny pochwycił szkatułkę z pieniędzmi i uciekł.

KRONIKA.

Lwów 5 stycznia.

Zwracamy uwagę naszych Czytelników na prześliczny wiersz „*Salve aeternum*“ pióra olbrzymio utalentowanej poetki, panny Anieli Glogierówny. Jest on tak wzniośle religijnym i zarazem tak głęboko filozoficznym, że może stanąć obok najpiękniejszych poezyj religijnych, jakie posiadamy w naszej literaturze.

Na obiedzie u Cesarza byli wczoraj między ionymi nasi delegaci: Abrahamowicz, Bobrzyński i X. Pastor.

Na lekarstwa dla biednych uchwaliła komisya budżetowa w myśl wniosku rad. B. Lewickiego 17.000 koron, zamiast proponowanych przez Magistrat 20.000 koron.

Budżet Lwowa w komisyi jest już na wykończeniu. Pozostało jeszcze tylko pięć rubryk do uchwalenia. W drugiej połowie stycznia znajdzie się gotowy referat na stole Rady miejskiej tak, że jeszcze w styczniu będzie najprawdopodobniej budżet uchwalony, o ile panowie radcy nie zechcą sprawy przewlekać żmudną dyskusyą.

W Stanisławowie wystawiło Towarzystwo muzyczne im. Moniuszki operę Żeleńskiego „Janek“. Kompozytor przybył osobiście z Krakowa i dyrygował orkiestrą.

W sali teatralnej w Stanisławowie wygłosi we środę 9 bm. poeta p. Jan Pietrzycki odczyt na temat: „Chopin-Grieg“. Cała prelekcya będzie ilustrowana muzyką.

Miejski Zakład sierót otrzymał zatwierdzenie budżetu na rok bieżący w kwocie 67.000 kor.; w zakładzie tym wychowuje się obecnie 190 sierót. Podczas dyskusyi w komisyi budżetowej postawił rad. dr. Wassung rezolucyę, aby budynek ten nieodpowiedni już dziś sprzedać, a nowy zakład postawić dalej, lecz wybudować go podług najnowszych wymagań w obszernym ogrodzie, gdzieby były boiska, ślizgawka itd. Sprawą tą zajmie się Rada miejska.

Sprawa rabunkowego napadu w Banku związkowym. Bardzo zajmujący szczegół z przeprowadzonego śledztwa dostał się teraz do ogólnej wiadomości. Oto okazuje się, że Nowakowski był w parę dni po napadzie na akademika Vörösa aresztowany przez jednego z ajentów policyjnych, któremu rozrzutność Nowakowskiego wydała się podejrzaną. Wówczas jednak sprytnemi odpowiedziami zdołał odwrócić od siebie podejrzenia i puszczono go wolno. Dzięki więc łatwowierności i dobroduszności tych, którzy go wówczas badali, mógł on był popełnić drugą, jeszcze cięższą zbrodnię i ze zrabowanemi pieniędzmi uciec do Londynu, jak to już było uplanowane. Wówczas zaś prawdopodobnie nigdyby go nie była dosięgła ręka sprawiedliwości.

Dyrekcya Banku związkowego, uznając, iż woźni Tuziak i Bojarski, dzięki swej przytomności umysłu, uratowali przeszło 50.000 kor. tej instytucyi, przyznała im remuneracyę po 200 kor.

Znowu nieszczęśliwy wypadek na ślizgawce. P. Olga Szymonowicz upadła onegdaj tak nieszczęśliwie na ślizgawce na Stawach Pańeńskich, że złamała prawą rękę.

Ofiary niedbalstwa stróżów kamienicznych. Na przechodzącego ulicą Bernsteina Ozyasza Apla, spadła wczoraj z dachu tak olbrzymia bryła śniegu i z taką siłą, że nieszczęśliwemu człowiekowi pękła czaszka. — W ulicy zaś Friedrichów pośliznął się na nieoczyszczonym z lodu trotuarze p. Oskar Fabian i upadł tak nieszczęśliwie, że złamał rękę powyżej łokcia.

Wydatki na dobroczynność publiczną w roku 1907 uchwaliła komisya budżetowa w kwocie 303.000 koron. W tem na Tow. Opatrzności utrzymujące „Dom pracy“ 2 400 kor. Sierotom w Zakładzie Niepokalanego Poczęcia podwyższono w myśl wniosku rad. Sklepińskiego zasiłek do 1.000 koron, a szpitalikowi im. Św. Zofii po gorącem poparciu przez rad. Bol. Lewickiego, uchwalono 3.000 koron, zamiast 2.000 koron.

Tramwaj konny przyniósł — wedle przedłożonych Magistratowi rachunków — w ciągu dziesięciu miesięcy roku zeszłego, to jest od 1 stycznia do 1 listopada 36.800 K. czystego zysku.

Osunięcie się góry piaskowej spowodowało wczoraj około godz. 4-tej popołudniu straszny wypadek. Oto w pobliżu ulicy Torosiewicza i traktu, wiodącego do Zielonych rogatek, na gruntach p. Leopolda Laskowskiego wydobywają piasek na rzecz przedsiębiorstwa p. Zygmunta Scharfa. Wczoraj popołudniu przybyły na to miejsce dwie fury, wynajęte od p. Józefa Königa, właściciela cegielni w Kozielnikach. Pierwszą z tych fur prowadził woźnica Jan Bogoniowski, drugą Jan Hryniak. Zaledwie Bogoniowski podjechał pod okop piaskowy, począł się z góry zsypywać piasek i w oka mgnieniu znalazł się woźnica wśród lawiny piaskowej. Konie jego, spłoszone szmerem toczącego się z góry piasku i krzykiem robotników, ruszyły prędko z miejsca. Bogoniowski nie miał już siły, aby nogi wyciągnąć z gruzów, lecz chwycił się tylnej luśni wozu i został wraz z wozem wyciągnięty przez konie. Równocześnie zaciął konie woźnica drugiej fury, Hryniak. Lecz konie jego miały już nogi pogrążone w lawinie i nie mogły się ruszyć z miejsca. Nadaremnie przestraszony Hryniak zacinał je batogiem. Gdyby w tej chwili zachował bystrość umysłu i zeskoczył z wozu, to mógłby był swoje życie wyratować. Lecz Hryniak stracił widocznie przytomność umysłu i zacinał ciągle konie, jednak tymczasem osunęła się wielka bryła piasku z góry i przysypała wóz i Hryniaka do piersi. Z rozpaczony woźnica krzyknął: „Jezus, Marya! kto żyje, niech ratuje!“ atoli było już zapóźno, bo niebawem stoczyła się ponowna lawina piasku i przysypała Hryniaka wraz z wozem i końmi grubą warstwą piasku. O szybkim ratunku nie mogło być mowy. Piaskarze, pracujący przy robocie, zaledwie zdołali sami uciec z niebezpiecznego miejsca. Widząc, że nic dadzą rady, pośpieszyli zawiadowić straż ogniową. O zmroku przybyło na miejsce 4-ch strażaków, radzca magistratu p. Górecki i dwa oddziały piechoty pod komendą kapitana Feldmana. Było jednak już ciemno, piasek osypywał się ciągle dalej, a o uratowaniu życia nieszczęśliwego Hryniaka nie można było myśleć, gdyż pod grubą warstwą piasku musiał on się już udusić. Odroczono więc akcyę ratunkową do następnego dnia.

Dzisiaj od wczesnego rana pracowało kilku robotników pod kierunkiem inżyniera magistratu p. Tołłoczki. Około godziny 10-tej natrafiono na prawą część wozu. Akcyę ratunkową utrudniła niezmiernie ta okoliczność, że w miejsce odkopanego piasku zsypują się ciągle nowe masy z góry i zagrażają życiu pracujących. Zasypany Hryniak był żonaty, liczył 33 lat i pozostawił pięcioro drobnych dziatek, z których najstarsza dziewczynka liczy dopiero 9 lat. Przyczyną katastrofy jest nieumiejętne kierownictwo robót przy wydobywaniu piasku. Okop ma kilkanaście metrów wysokości i jest tak stromy, że pod wpływem roztopów śnieżnych i pękania lodu w szczelinach, koniecznie musiał się zwalić.

O godzinie 12½ w południe wydobyto trupa Hryniaka w okropnym stanie: twarz obrzękła, czerwona, w ustach krew zakrzepła, oczy otwarte, ręce wzniesione do góry. Konie i wóz były jeszcze pod piaskiem, który w nowych masach osuwa się z góry.

Miejskie biuro pracy w komisyi budżetowej. Na Biuro pracy preliminowano 11.270 koron; przy tej sposobności uchwalono w myśl wniosku dra Stesłowicza i dra Dzieślewskiego wezwać magistrat, aby od marca b. r. przeniósł biura z obecnej spelunki przy ul. Arsenalskiej do przyzwoitego lokalu. Wniosek r. Soleskiego o stabilizacyę zasłużonego dyrektora Biura pracy p. Edm. Kolbuszowskiego odstąpiono magistratowi.

Nieszczęśliwy wypadek. Na dworcu kolejowym w Stryju przejechała szybująca maszyna ślusarza kolejowego Franciszka Czermaka i zabiła go na miejscu. Czermak pośliznął się był na szynach i upadł tuż przed maszyną, tak, że kierujący nią nie mógł jej już zatrzymać.

Wyrodni rodzice. Onegdaj zmarł we Lwowie sześcioletni chłopiec, Oleś, nieślubny syn Anieli Debrewskiej, żony Eliasza, dozorcy domu przy ul. Kurkowej l. 29. Przy oględzinach zwłok dziecka zauważył lekarz miejski liczne ranki i sińce i na jego doniesienie wdrożyła policya dochodzenia co do wyjaśnienia przyczyn zgonu dziecka. Z zeznań przesłuchanych licznych świadków, lokatorów tej realności i służby, okazało się, iż zarówno przybrany ojciec, jak i własna matka znęcali się nad dzieckiem w sposób niemożliwy. Za lada powodem bili chłopca do krwi, tratowali go nogami, morzyli głodem, zamykali nieraz na całą noc w piwnicy, a nawet w miejscu ustępowem i to w mróz, dochodzący 10-ciu stopni. Nic więc dziwnego, że dziecko nikło w oczach, aż wreszcie onegdaj wyzionęło ducha. Sprawę oddano prokuratoryi państwa.

Podatek od biletów teatralnych omawiano na komisyi budżetowej i w myśl wniosku rad. B. Lewickiego nic z tego tytułu nie preliminowano, ponieważ jest pewność, że Rada miejska mimo ustawy zezwalającej na pobór tego niekulturalnego podatku, uchyli się od dochodu z tego tytułu.

Samobójstwo. W Korowej, na Bukowinie, zastrzelił się w domu swego ojca, parocha prawosławnego, 25-letni młodzieniec, ukończony prawnik, Michał Mitrofanowicz. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Karpatorosyanie. Na wieść o zamierzonem wyłączeniu Rusi chełmskiej podsuwa w „Haliczaninie“ jakiś ku Rosyi grawitujący patryota ruski, ukrywający się pod pseudonimem dr. —yckyj, projekt kulturalnego i etnograficznego „wyłączenia“ ludności ruskiej w Galicyi na rzecz Wszech-Rosyi. Na początek nadał on nową nazwę wschodniej części Galicyi. Nazywałaby się odtąd nie „Rusią halicką“, ani „Rusią podkarpacką“, ale „Karpatorosyą“, a ludność „Karpatorosyanami“. „Dr. —yckyj“ ma nadzieję, że zacieśnienie węzłów formalnych nawet — z wszechrosyjską macierzą, doda „Karpatorosyanom“ sił w walce wyborczej z osiedleńcami polskimi w „Karpatorosyi“ i z rządem austryackim.

Ostrożnie z masoneryą. W *Głosie Narodu* zwraca ktoś uwagę na to, że Stowarzyszenie akademickie „Ethos“, mające rzekomo szerzyć wstrzemięźliwość, stoi w gruncie rzeczy, tak, jak i Towarzystwo „Eleuterya“, na usługach masoneryi i ma *de facto* na celu szerzenie materyalizmu i podkopywanie zasad religijnych. Ów obywatel, który o tem donosi, wydaje ten swój sąd na podstawie słyszanych przez niego kilku odczytów, wygłoszonych właśnie przez członków Towarzystwa „Ethos“.

Poezya w muzyce Chopina. Nigdzie moc ducha nie przemawia tak tajemnie, jak w muzyce Chopina. W dźwięku swoich słodkich akordów był on poetą wielkim, władzcą miliona serc. Żaden liryk — nie wyjmując nawet największych — nie zdołał w rymy swoje wlać tyle uczucia, ile Chopin przelał w swoje utwory muzyczne. Uczucie jego jest przeważnie romantyczne, jak cała ówczesna poezya, boć cała muzyka jego tchnie poezyą. Nie imał się Chopin batuty mistrzowskiej, nie dążył do panowania nad tłumem przy pomocy kompozycyi instrumentacyjnej, nie władał nigdy orkiestrą; całą swoją duszę wlał w jeden tylko instrument, ale na nim wygrał nam melodye wzniosłe, czarujące, upajające.

Największy interpretator i teoretyk muzyczny, Liszt, zrozumiał czarowne falowanie melodyi Chopinowskich; jego fantazyę, nieskrępowaną klasycznemi formami, potęgę jego uczucia i słodkość duszy.

O tych niezwykłych zaletach Chopinowskiej muzyki, stanowiących razem całość poetyczną, mówił znany nasz poeta, p. Jan Pietrzycki, na swym odczycie w Kole literacko-artystycznem. Prelegent zagłębił się w utwory wielkiego mistrza, starał się wniknąć w jego duszę, zanalizować ją i okazać swym słuchaczom pierwiastki, z jakich się składa muzyka Chopina.

Do znakomitej charakterystyki, podanej przez Liszta, dodał prelegent jeszcze jeden rys bardzo ważny i znamienny: polskość. Chopin czerpał motywy do swoich utworów w duszy słowiańskiej, w duszy polskiej. Pola, snujące się nad Wisłą, owiane tą jakąś przedziwną melancholią, przepełnione tęsknotą, jakąś grą szczęścia i smutku, strachu i wesołości: owa prosta lira pastusza, odzywająca się na pastwisku, szum boru i pluszczenie fal Wisły, powiew wietrzyka i chrzęst w stal zakutych rycerzy, to wszystko chwytał Chopin swem uchem, odczuwał swem sercem, ujął w całość i uwiecznił w tonach. Nuta jego, to nuta mazowieckiej liry: smętna, drgająca, niestała. Ponad linią melodyi wije się smuga półtonów, delikatnych dotknięć czułego palca. Ona zabarwia melodyę; przytłumia porywy radości, to znowu rozpogadza smutek; wije się melancholią i tryska radością „jak uśmiech ust, gdy oczka płaczą“.

Wywody prelegenta objaśniały ilustracye muzyczne, wykonane na fortepianie przez dra Szenka. Przecudna ballada as-dur, osnuta na tle ballady o córce Gedeona, wywołała miłe wrażenie. Zaprodukowano również mazurek pożegnalny, stworzony przez Chopina na cześć jego ukochanej Konstancyi Gładkowskiej: a na zakończenie polonez fis-moll, jako ilustracyę schorzałej duszy wieszcza, lękającej się śmierci, cierpiącej na przedśmiertne majaczenia o sielankach młodości, o krzywych drogach na polu i szmerze brzóz cmentarnych.

Odczyt i produkcye muzykalne wywołały silne wrażenie. Słuchano ich z wielkiem przejęciem się i nagrodzono hucznymi oklaskami.

Zguby. Księżna Renata Gedroyciowa z Miękisza Nowego w powiecie jarosławskim zgubiła w przeszłą sobotę, jadąc pociągiem osobowym do Radymna, złotą broszkę kształtu gałązki, ozdobionej pięciu brylantami. Broszka ta znajdowała się w pudełku, opatrzonem firmą jednego z warszawskich sklepów jubilerskich, a wartość jej wynosiła 1000 K.

Pani S. Marsowa, mieszkająca przy ul. Trzeciego Maja, zgubiła wczoraj w drodze do kościoła OO. Jezuitów pugilares z kwotą 100 K. i akcyę Towarzystwa sztuk pięknych.

Środek na katar. W jednym z dzienników czytamy: Gdy katar trwa bardzo długo i zacznie się rozchodzić i w głowie i do gardła i do piersi, kiedy płynie bez ustanku, przymiesza się kaszel, chrypka i t. d., staje się to przykre, a nawet bardzo uciążliwe. Wtedy niejeden zawoła niecierpliwie: „Ach, cóż za nieznośny katar! jakby się tu jego pozbyć?..“

Po większej części mocno zakatarzeni otulają głowy, nie śmią wyjść za próg, biorą na poty, a czując pewne pragnienie, piją. — A to właśnie najgorsze; owszem należy unikać płynów.

Angielski dr. Wiliams wypróbował to na sobie samym. Przez 24 godzin nie przyjmował żadnego płynu i w ten sposób nietylko uniknął pogorszeń, którym poprzednio zwykle ulegał, ale nawet płynienie znacznie się zmniejszyło i już nie

potrzebował uciekać się tak często do chustki. Przeciągnął więc swe doświadczenie jeszcze przez drugie 24 godzin i został całkiem uwolniony od swego nieżytu. A co ważniejsza, nie doświadczył kaszlu, jak to bywało uprzednio, i całe cierpienie kataralne ustąpiło.

Po tej kuracyi, odbytej na własnem ciele, dr. W. zastosował także i swoim pacyentom. Przytem przepisywał jedzenie: chleb lub gęste potrawy mączne z trochą masła, jarzyny, białe ryby i białe mięsa, lekkie budynie i suszone owoce. Często napoi ograniczał zmianą ilości tylko tem, że nie pozwalał zgoła używać napojów. Zupełne powstrzymanie się od płynów działa najczynniej, jednakże powodzenie kuracyi nie bardzo się zepsuje przez picie na śniadanie lub na wieczerzę łyżki herbaty, albo mleka i na noc kieliszka wody.

Dr. W. mówi: „Wielką zaletą tej metody stanowi to, że chory nie doznaje przeszkody w swych zatrudnieniach i że nie potrzebuje siedzieć w pokoju. Byle ubrać się ciepło i strzedz się od nowego zaziębienia, to ruch na wolnem powietrzu jeszcze wspiera kuracyę. Jako średni przeciąg czasu, przez który stan powstrzymać się od wszelkiego płynu, można zakreślić 48 godzin; często wystarcza 36 godzin, a tylko ciężkie rzadkie wypadki mogą wymagać 72 godzin".

Po przeczytaniu tego w jednem z pism przyrodoleczniczych, dodaje inny lekarz, że przy zachowaniu powyższego przepisu, katar rzadko się upiera poza dwie doby, a najdalej w ciągu trzeciej ustąpić musi. Sposób to wreszcie wypróbowany przez wielu na sobie samych i na mnóstwie innych, w starszy, tembardziej zasługuje na wiarę i uznanie. Uciążliwe płynienie usuwa się bardzo prędko i nietylko unika się przymusowego stronienia od towarzystwa, lecz równocześnie zapobiega się i wszelkim następstwom, jak np. kataralnemu zapaleniu błony bębenka, wskutek czego natężonego ucierania nosa. Godnem też uwagi jest i to, że nawet początkowe pragnienie, zwykle towarzyszące katarowi, wkrótce ustępuje samo przez się.

Znowu anegdota o cesarzu Wilhelmie. Jak wiadomo, kilku dzienników podało pogłoskę, jakoby Wilhelm II, dowiedziawszy się o zastrzeżeniu opozycyjnym parlamentu w sprawie kolonialnej, miał zatelegrafować do kanclerza Bülowa: „Poszlij pan tę bandę do wszystkich dyabłów". Pogłosce tej zaprzeczyły pisma półurzędowe.

Przed kilku dniami znowu ukazała się wiadomość, że cesarz, przeczytawszy ostrą i bezczelną mowę Dernburga przeciw stronnictwom opozycyjnym, miał go ucałować i powiedzieć mu: „Mianowałem pana dla tego dyrektorem kolonii, ponieważ słyszałem, że jesteś *„ein saugrober Kerl"* (Chłop grubijański, jak świnia).

Korespondent *Frankfurter Zeitung* dowiaduje się obecnie z ust samego p. Dernburga, że scena ta miała przebieg następujący: Cesarz zapytał się tylko dyrektora kolonii: czy potrafi być „grubiańskim" *(grob)*? Na to odpowiedział Dernburg: "Potrafię być energicznym, gdy tego potrzeba". Po tych słowach cesarz silniej uścisnął dłoń panu Dernburgowi i rzekł: „Dobrze pan zrobiłeś!"

Temperatura dnia 3 stycznia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej + 4, we Lwowie + 4, w Tarnopolu — 6, w Czerniowcach — 7, w Wiedniu — 1, w Salzburgu + 1, w Gracu — 3, w Pradze + 3, w Tryeście + 4, w Abbazyi + 9, w Ragusie + 11, w Budapeszcie — 2, w Berlinie + 1, w Hamburgu + 2, w Monachium + 1, w Zurychu + 2, w Genewie + 6, w Lugano + 1, w Anglii + 2, w Paryżu + 3, w Biarritz + 10, w Nizzy + 8, w północnych Włoszech 0, we Florencyi + 4, w Rzymie + 11, w Neapolu + 12, w Palermo + 11, w Madrycie + 6, w Sztokholmie + 1, w Petersburgu — 14, w Wilnie — 8, w Warszawie — 3, w Moskwie — 16, w Kijowie — 8, w Odessie + 2, w Serajewie + 8, w Belgradzie + 6, w Bukareszcie — 3, w Sofii — 3, w Konstantynopolu + 8, w Atenach + 9. (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. W Stanisławowie, Dorota Gelberowa, żona inżyniera kolei państwowych, przeżywszy l. 27. — W Poznaniu, Józef Kusztelan, dyrektor tamtejszego Banku związku spółek gospodarczych, instytucyi położonej naczelnie Związkowi stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Położył on wielkie zasługi na zajmowanem przez siebie stanowisku. Liczył około 70 lat.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 1 R. w poł. + 2 R. Bar. 770. Idzie w górę. Pogodnie.

W kasynie.

— Pan ma potężne uszy... no!

— Prawda? ja zawsze mówię: moje uszy i pańska głowa, toby był osioł dopiero, co się zowie!

W szkole.

— Gapski! ile zębów ma człowiek dorosły?

— Co? ja wiem? moja mama ma aż dwa garnitury, a powiada, że oba do niczego!

Oryginalny podarunek dla papieża. Uproszeni przez fabryki Kunerolu donoszą, że opis przyjęcia na audyencyi inspektora wielkiej fabryki Kunerolu u Jego Świątobliwości Papieża, podany był w *Osservatore* 18 grudnia z. r., dokładne jednak sprawozdanie było umieszczone dnia 13 grudnia z. r. w *Il Diritto Cattolico*.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: popołudniu „Dziewica Orleańska," tragedya Schillera, wieczorem „Faust," opera Gounoda. — W niedzielę popołudniu „Królowa Tatr," wieczorem „Ewangelimann," opera Kienzla. — W poniedziałek „Pani Walewska". — We wtorek „Słodka dziewczyna". We środę po raz pierwszy „Zażarty automobilista," krotochwila Kurta Kraatza. — We czwartek „Samson i Dalila," opera Saint-Saënsa. — W piątek „Zażarty automobilista".

Filharmonia lwowska. W połowie stycznia wielki koncert Eryka Schmedesa, nadwornego śpiewaka opery wiedeńskiej.

Repertuar teatru krakowskiego. W poniedziałek „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej.—We wtorek „Kandida" Shawa.—We środę „Wesołe kumoszki z Windsoru" Szekspira.—We czwartek „Kandida". — W piątek „Tanten" Maskoffa. — W sobotę „Aszantka" Perzyńskiego. — W niedzielę popołudniu „Betleem polskie" Rydla, wieczorem „Moralność pani Dulskiej".

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 stycznia. „Les 6 Infernals," najpiękniejszy sekstet damski". „Frères Skremka" niezrównane igrzyska ikaryjskie. —„Podwójna pomyłka," farsa w 1 akcie. — Julian Kratochwill, b. artysta teatru miejskiego.— 11 nowości! W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

Z teatru. Podczas wczorajszego przedstawienia sztuki p. Adama Krechowieckiego p. t. „My" stał się teatr miejski widownią demonstracyi, której tendencya tak była wybitnie terorystyczną, iż nasuwa ona przedewszystkiem refleksye na temat, jak żywioły radykalne pojmują wolność wypowiadania swoich przekonań i zdań. Od rozpoczęcia sztuki, licznie w teatrze zebrani socyaliści w najrozmaitsze sposoby przeszkadzali grze aktorów. Podczas aktu drugiego krząkania, głośne uwagi, wykrzykniki, sykania itp. stawały się coraz to częstsze. Aż pod koniec tego aktu powstał w teatrze nietylko hałas piekielny, ale wprost tumult; z trzeciego piętra bowiem rzucono dwie tzw. żabki, t. j. małe petardy. Gwizdaniem, krzykiem i groźbami demonstranci zmusili aktorów do zakończenia aktu przed odegraniem trzech końcowych, najsilniejszych w tym akcie scen. Na rozpoczęcie aktu trzeciego nie ważyła się już dyrekcya poprostu ze względu na bezpieczeństwo publiczne, w teatrze bowiem lada chwila mogła powstać panika. W ten sposób socyaliści nie pozwolili autorowi wypowiedzieć się. To, co w sztuce powiedziano aż do chwili przerwania jej, w niczem nie usprawiedliwiało demonstracyjnego oburzenia socyalistów. Tego, co miało być powiedziane potem, nie dowiedziała się publiczność; tedy nie zrozumiała ona ani celu, ani sensu tej demonstracyi, a tylko miała sposobność stwierdzić, iż socyaliści pozwalają mówić jedynie tym, którzy im schlebiają, a terorem zmuszają do milczenia tych, którzy mają dość cywilnej odwagi śmiało wypowiedzieć swoje zdanie, bez względu na to, czy ono jest miłe, czy też niemiłe dla elementów radykalnych. Ten teror „z dołu", który w ostatnim roku z zadziwiającą natarczywością i śmiałością jął narzucać swoją dyrektywę w naszem życiu publicznem, objawił się w teatrze podczas wczorajszego przedstawienia w typowym charakterze swoim z tą tylko paradoksalną waryacyą formy, iż był terrorem „z góry", bo w teatrze ze względu na ceny miejsc najniższe warstwy siadają najwyżej.

A trudno rzeczywiście o wymowniejszy, więcej dobitny, więcej przekonywujący i silniejszy argument dla tezy imputowanej przez socyalistów autorowi, niż ten, którego przez wczorajszą demonstracyę dostarczyli właśnie sami socyaliści. Jeśli bowiem p. Krechowiecki w sztuce swojej rzeczywiście zamierzał wypowiedzieć zdanie, iż grupa niedojrzałych, warcholskich żywiołów uważa się za jedyną reprezentantkę słusznej i godziwej sprawy, a wszystkich ludzi innych przekonań ma za żywioł zły i reakcyjny, i gotowa jest walczyć przeciw nim każdym środkiem terorystycznym, to terorystyczna tendencya wczorajszej demonstracyi w teatrze rzeczywiście dowiodła niezbicie, że żywioły radykalne teroryzmem zwalczają tych, którzy są odmiennych od nich zapatrywań, a nawet i tych, którzy bez żadnej tendencyi politycznej, niejako tylko z rzeczowej konieczności, z artystycznego obowiązku widzenia rzeczy objektywnie, zmuszeni są stwierdzić pewne widoczne dla wszystkich, o żywiołach radykalnych ujemnie świadczące fakta

Do tych należy pan Krechowiecki.

Kto bez uprzedzenia z góry wysłuchał wczoraj niedokończonych dwóch aktów jego sztuki, lub nawet kto miał sposobność poznać całą jego sztukę z rękopisu lub na próbach w teatrze, ten bezwarunkowo nie może posądzić go o jakąś tendencyę polityczną, nieprzychylną dla socyalistów. Można nawet sądzić przeciwnie: piszący tę relacyę odniósł wrażenie, że pan Krechowiecki zapatruje się na działalność socyalistów warszawskich z właściwym wszystkim poetom optymizmem. Bowiem ani jedna scena w sztuce nie pozwala przypuszczać, iżby on powątpiewał o szczerości przekonań tych ludzi w ich działaniu. A roli, którą oni odgrywają w jego sztuce, on sam im nie wyznaczył. Tę rolę odgrywają oni rzeczywiście w realnem, tragicznie smutnem współczesnem życiu Warszawy. Zaś jeśli tę ich rolę przyszło panu Krechowieckiemu podkreślić, to tylko i jedynie dlatego, że artystycznym celem jego dramatu było przedstawić tę tragiczną sytuacyę, w której obecnie znajduje się społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, a którą stworzyła właśnie socyalistyczna anarchia.

Z jednej strony owe żywioły młodzieńcze, warcholskie, niedojrzałe, a z gruntu zdeprawowane, które uważają się za jedynych reprezentantów ludu, jego dobra pragnących, a które mówią o sobie „My" w tem rozumieniu, iż są alfą i omegą narodu, a kto do nich nie należy, jest wrogiem narodu i wolności — zaś z drugiej strony czynownictwo rosyjskie brutalne, zdemoralizowane, popierające bandytyzm owych warcholskich żywiołów, uważające się za prawdziwych dzierżawców kraju, a mówiące o sobie również „My" w rozumieniu tem, iż są jedynymi, nieograniczonymi panami sytuacyi, mienia i życia obywateli — pomiędzy nimi spokojne, pracujące, produktywne społeczeństwo niby między młotem i kowadłem, oto tragizm sytuacyi, w której dni swoje przeżywa obecnie Warszawa. Przedstawić tę sytuacyę w utworze literackim, scenicznym, było zadaniem, które wytknął sobie pan Krechowiecki. Jest to zadanie wielkie i nad wyraz ponętne ze stanowiska literackiego. Jak bowiem w życiu jednostki w chwilach przejść tragicznych przejawiają się z przedziwnie olbrzymią mocą wszystkie jej najistotniejsze i najgłębsze instynkty ludzkie, tak samo, lecz w stokroć większej mierze, bo w olbrzymiej, miliony jednostek obejmującej sumie, w tragicznym momencie życia narodu przejawiają się jego elementarne siły, pragnienia, wnętrze jego duszy, owo głębokie, ukryte, w codziennem życiu nie znajdujące wybitnego wyrazu. A ponieważ celem sztuki nie jest fotografowanie szarej codzienności życia, ale odtwarzanie w czynach i duchu zolbrzymiałych momentów tego życia, więc najponętniejszem dla artysty zadaniem jest odtworzyć taki wielki, tragiczny przełom w dziejach narodu, jakim jest ten, który obecnie przeżywa Królestwo. Jak wielkie literackie trudności nastręcza takie zadanie, tem większe, iż ma się tu do czynienia z rodzajem wiwisekcyi, każdy zrozumie. Stwierdzić nam tylko wypada, iż pan Krechowiecki przezwyciężył te trudności znakomicie. Swojej pracy literackiej nie rozbił on na atomy drobiazgowych, nie wiele znaczących danych charakterystycznych; przeciwnie nadał jej charakter syntetyczny, zwartej, jednolitej całości, wyrysowanej liniami śmiałemi, a jednak pewnie i wiernie wykreślonemi, bo pociągniętemi ręką, którą wiodło głębokie przetrawienie i przemyślenie tych dla nas wszystkich zarówno wzruszających, jak bolesnych wydarzeń dziejowych w tamtej dzielnicy naszej ojczyzny.

Ten syntetyczny charakter utworu wysunął na plan pierwszy tragizm ogólnej sytuacyi, który w ten sposób stał się nietylko celem artystycznym utworu, ale i jego osią dramatyczną. Do wytworzenia tego nastroju zmierzają wszystkie dramatyczne zawikłania akcyi, oraz konsekwencye jej faktów.

Bogaty przemysłowiec konserwatysta, nazwiskiem Rubicz, ma syna, który zaplątał się na uniwersytecie w towarzystwo najskrajniejszych socyalistów. Główny pomocnik Rubicza, Kałuski, umiarkowany socyalista narodowy, ma znów córkę, która ukończyła gimnazyum i również padła w objęcia rewolucyjnego socyalizmu. Młody Rubicz wyniósł z domu wielki zasób tradycyą przekazanych wzniosłych zasad i ideałów, to też sam zdołał zawrócić z błędnej drogi. Rózia Kałuska przywykła w domu do przewrotnych teoryi ojca, to też wtedy, gdy ojciec jej, jako człowiek dojrzały i rozumny widział, iż nie czas na nierozważne wprowadzanie tych teoryi w czyn, ona wpadła bez zastrzeżeń i hamulca w wir zdarzeń, straciła cześć, a w końcu życie w ulicznej walce z patrolem. Młody Rubicz, który porzucił swoich socyalistyczno-rewolucyjnych kolegów, padł z ich ręki jako zdrajca podczas bandyckiego napadu na dom jego ojca, dokonanego w celu grabieży pieniędzy na „cele partyjne". Jeden z przyjaciół Rubicza w obronie przed bandytami wezwał żandarmów. Żandarmi, zamiast gonić bandytów, rozpoczęli rewizyę w domu Rubicza i aresztowali go, odrywając od trupa syna zabitego przez bandytów. Oto tragiczny chaos, w którym pogrążone jest społeczeństwo, stojące między młotem i kowadłem: rewolucyą i biurokracyą.

Rózia Kałuska wzgardziła czystą i prawdziwą miłością młodego Rubicza, bo zakochała się w cynicznym rewolucyoniście Tadeuszu Horze, który imponował jej bezwzględnością i śmiałością, wypływającą z braku wszelkiego hamulca etycznego. Lecz bezkrytyczny umysł młodego dziewczęcia nie umiał analizować moralnej wartości takiego Hory. I Rózia padła ofiarą jego chuci.

Na tej scenie przerwano wczorajsze przedstawienie. Scenę następującą, w której po Horę przychodzą dwaj bandyci ze stworzonej przez niego „partyi bojowców", opuszczono, bo aktorzy, mający grać owych bandytów, odmówili wyjścia na scenę z obawy przed groźbami socyalistów, którzy zawiadomili ich, a także dyrekcyę teatru, że obrzucą kamieniami owych bandytów na scenie. Dalsze, ostatnie dwie sceny również opuszczono, bo w piekielnym wrzasku, jaki panował na widowni, nie podobna było aktorom przyjść do słowa. Trzeciego aktu nawet nie rozpoczynano, bowiem dyrekcya słusznie obawiała się paniki w teatrze. Zresztą grająca Rózię pani Trapszo po zejściu ze sceny dostała gwałtownych spazmów, tak podziałało na nią zachowanie się demonstrantów.

Co do gry aktorów, to trudno o niej sądzić z niedokończonych ról. W pierwszych dwóch aktach, które odegrano, wszyscy wywiązali się ze swego zadania bardzo dobrze; przedewszystkiem p. Adwentowicz w roli Hory stworzył postać wprost doskonałą. Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Demonstracya nie skończyła się po spuszczeniu kurtyny. Demonstranci ustawili się pod teatrem u wyjścia i nie dopuścili żadnej dorożki do zajechania przed portal. Gdy kilku panów, towarzyszących jakimś damom, starało się wytłumaczyć zebranym przed wyjściem wyrostkom, że panie są w lekkich pantofelkach, więc nie mogą iść przez niesłychane błoto, jakie leży na ulicach z roztopionych mas śniegu, poczęto wołać z tłumu: „my codzień chodzimy w takiem błocie, to wy raz możecie sobie zamoczyć nogi!" Panie w białych pantofelkach i jasnych wieczorowych sukniach musiały w roztopionym śniegu brnąć piechotą aż do połowy ulicy Hetmańskiej, gdzie dopiero stały ekwipaże i dorożki. To był jeden dowód więcej socyalistycznej tolerancyi. *(fm.)*

Część ekonomiczna.

Wiedeń 3 stycznia.

(Z). Tylko w pierwszych godzinach obrotów dzisiejszych utrzymała się zwyżkowa tendencya, już jednak pierwsze depesze, jakie nadeszły z Berlina, wywołały reakcyę. Ogłoszony bowiem dziś bilans niemieckiego banku państwowego budzi swemi cyframi poważne zaniepokojenie w sterach finansowych. Że zapasy złota banku tego zmniejszą się z końcem roku, na to byli wszyscy przygotowani, ale nikt nie przypuszczał, żeby to zmniejszenie się rezerw bankowych przybrało tak wielkie rozmiary. Dzisiejszy stan banku niemieckiego przedstawia się jak następuje: Zapasy złota wynoszą 665 milionów marek i zmniejszyły się w ciągu tygodnia o 70,656.000 marek, portfel wekslowy wraz z lombardem wzrósł na przeszło 1.600,000.000 marek, a cyrkulacya banknotów na 1.775,898.000 marek, zwiększyła się zatem w ciągu tygodnia o 295 milionów. Jak widzimy tedy, zaledwie trzecia część kursujących w Niemczech banknotów ma pokrycie metaliczne. Ogłoszenie tego bilansu wywarło na giełdzie berlińskiej fatalne wrażenie, a eskont prywatny bezzwłocznie podrożał o przeszło ½%.

Także bank austro-węgierski ogłosił dziś swój bilans tygodniowy, wykazujący, że i w Austryi zapotrzebowanie gotówki na ultimo grudnia było bardzo znaczne. Bądź co bądź jednak sytuacya banku austro-węgierskiego jest nieskończenie lepsza, niż niemieckiego banku państwowego. Zapasy kruszców naszego banku wynoszą bowiem 1,454.000.000 koron, a cała cyrkulacya banknotów 1,982.000.000 koron. Zwiększyła się ona w ciągu tygodnia o 183 milionów. W obiegu są dziś opodatkowane banknoty na sumę 130 milionów koron.

Świetnym co się zowie jest stan banku francuskiego. Wedle ogłoszonego przezeń również dziś bilansu, posiada on zapasy złota w sumie 2,664.814.000 franków, a srebra w sumie 990,000.000 franków. Cyrkulacya banknotów wynosi okrągło 5 miliardów franków.

Sytuacya banku angielskiego poprawiła się cokolwiek ostatnimi dniami, gdyż jego zapasy złota zwiększyły się o 1,219.000 funtów szterlingów i wynoszą dziś 30,283.000 funtów szterlingów.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 4 stycznia 1907 r.) —

Na giełdach zagranicznych panuje usposobienie spokojne, a obroty są ograniczone. Położenie naszego targu jest dla krajowej produkcyi niekorzystne, gdyż zboże z Węgier, gdzie urodzaj był nadzwyczajny, przypływa do nas coraz obficiej, deprecyonując ceny zboża krajowego. Widocznem jest co do pszenicy, że z Węgier idą do nas gatunki jakościowo gorsze, lecz po niskich cenach, lepsze zaś znajdują eksport na zachód, co do żyta zaś, to waga żyta węgierskiego przewyższa wagę żyta galicyjskiego, szczególnie w tym roku niską. Dlatego nic dziwnego, że ceny tutejszego targu nie mogą się podnieść, a młynarze, mając zabezpieczony dowóz towaru, zakupują go tylko w miarę bieżącej potrzeby.

Dzisiejszy targ odbył się też w usposobieniu anemicznem, a tylko jakość zaofiarowanego towaru utrzymuje ceny na dotychczasowem notowaniu.

Sprzedawano: pszenicę białą od 8·45 do 8·55 koron, czerwoną od 8·30 do 8·45, żyto od 6·70 do 7·05, jęczmień od 6·70 do 7·60, owies od 7·70 do 8·05, groch zwykły od 9·75 do 10·50, groch Victoria do 12·00 do 13·00, groch (do siewu) na paszę od —·— do —·—, wyka nowa od 0·— do 0·—, bobik od 0·— do 0·—, kukurudza stara od 0·00 do 0·00 nowa od 6·20 do 6·40, Cinquantino od 7·00 do 7·40, otręby pszenne od 5·00 do 5·25, żytnie od 5·25 do 5·45, rzepak od 15·00 do 16·00· Wszystko za 50 klgr.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Gniezno. W procesie przeciw posłowi sejmowemu Chrzanowskiemu i towarzyszom uwolniono wszystkich oskarżonych, ponieważ nie udowodniono, jakoby w istocie chodziło o polityczne i publiczne zgromadzenie. Koszty procesu nałożył sąd na skarb państwa.

Kraków. Komitet, wybrany przez Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych dla reformy szkoły średniej, zwołał na wczoraj zgromadzenie, złożone z wybitnych pedagogów i osób poza szkołą stojących, celem zastanowienia się nad założeniem zreformowanej szkoły średniej. Przewodniczył prof. Jaworski. P. Łopuszański referował program, według krórego zreformowana szkoła średnia ma być założona na wsi pod Krakowem, jako internat, i uwzględniać przedewszystkiem wychowanie moralne i fizyczne, wyrabiać samodzielne myślenie i nie dopuszczać do przeciążenia naukami. Szkoła nie będzie filologiczna, ale na wyższych stopniach będzie filologia fakultatywnie używana. Notaryusz podgórski, p. Tadeusz Starzewski, przedstawił następnie statut Towarzystwa, którego zadaniem będzie założenie takiej szkoły. Towarzystwo ma utworzyć się jako stowarzyszenie zarobkowo-gospodarcze z ograniczoną poręką.

Do zarządu Towarzystwa wybrano wybitnych pedagogów i profesorów uniwersytetu. Przed obecnym notaryuszem zawiązano potrzebne stowarzyszenie, poczem ukonstytuował się jego zarząd. Przewodniczącym został rektor Morawski, zastępcą dr. Tad. Starzewski, sekretarzem prof. Łopuszański.

Kolonia. Do *Köln. Ztg.* telegrafują z Berlina: W urzędowych kołach nie wątpią, że w celu dalszego prowadzenia polityki kolonizacyjnej w częściach kraju, „zagrożonych przez żywioł polski", w dniu 1 kwietnia b. r. zażąda rząd świeżych środków, gdyż do tego czasu fundusz kolonizacyjny będzie wyczerpany niemal zupełnie. W ministerstwie rolnictwa — jak się dowiadujemy — odbyły się wczoraj narady reprezentantów ministerstw, interesowanych przy tworzeniu funduszu kolonizacyjnego. Rokowania doprowadziły do tego, że niebawem będą się mogły odbyć narady nad przedłożeniem polskiem w gabinecie. W tej także mierze są przekonani w kołach urzędowych, że dotychczasowa polityka kolonizacyjna była pod pewnymi względami błędna i że należy w wielu kierunkach przeprowadzić zmiany, aby tej polityce na przyszłość zapewnić powodzenie.

Czy i w jaki sposób mają być wzmocnione środki państwowe, kwestya ta będzie gruntownie rozważana. Także będzie się musiał znaleźć sposób dla zapobieżenia niezdrowej podwyżce cen ziemi, wywołanej skutkiem działalności komisyi kolonizacyjnej.

(Depesze popołudniowe).

Gniezno. W uzasadnieniu wyroku w procesie miłosławskim powiedziano: Sąd nie nabrał z przeprowadzonych środków dowodowych przekonania, jakoby odbyte w parku pałacowym Kościelskiego zebranie sokole było zgromadzeniem publicznem, na którem omawiano sprawy polityczne. Rozprawa wykazała tylko, że poseł Chrzanowski wygłosił u stóp pomnika Słowackiego mowę. Treść mowy była jednak bez zarzutu. Co się tyczy ćwiczeń gimnastycznych, urządzonych potem w parku, to można wprawdzie przypuścić, że „przez takie ćwiczenia nabiera siły osobiste męstwo Polaka", lecz nie oznaczają one wcale politycznej akcyi. Co do broni, którą mieli gajowi, dał trybunał wiarę zapewnieniu ich, że zaopatrzeni byli w broń tylko od parady, a nie w tym celu, by jej używać zaczepnie lub odpornie.

Kraków. Aresztowano tu urzędnika Spółki kowali z Sułkowic z powodu defraudacyi 11.000 koron, uprawianej systematycznie od 2 lat.

Poznań. Przed tutejszą Izbą karną toczyły się wczoraj dwa procesy przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi *Dziennika Poznańskiego*, Królikowskiemu z powodu artykułów w sprawie strejku szkolnego. W jednym procesie zasądzono oskarżonego na 100 marek kary, w drugim uwolniono go.

Na miesiąc więzienia skazała tutejsza Izba karna odpowiedzialnego redaktora *Pokraki*, Czajkowskiego.

Wilno. Władze wytoczyły sześciu redaktorom pism tutejszych procesy prasowe.

Łódź. O onegdajszem zajściu na Bałutach donoszą: Ulicą Drewnowską szedł o godz. 9 wieczór oddział wojska, złożony z kilkunastu żołnierzy; do oddziału tego zaczęło kilku ludzi strzelać z rewolwerów, patrol odpowiedział strzałami; wymiana strzałów trwała kilkanaście minut. Liczba ofiar na razie niewiadoma. Policya wie o 6 ofiarach. Faktem jest jednak, że ludzie strzelający do wojska unosili rannych. Prócz tej strzelaniny dokonano całego szeregu mordów. Od poniedziałku do wczoraj zabito na ulicach Łodzi 7 osób, a poraniono ciężko 23. Karetki Pogotowia już wcale na Bałuty nie chcą jechać, gdyż lekarze otrzymują ciągle listy z pogróżkami, że będą wymordowani. Zdarza się często, że uzbrojeni w rewolwery ludzie zatrzymują karetki Pogotowia, każą jadącym wysiadać i patrzą czy nie ma wśród nich skazanych przez partyę na śmierć.

Sofia. Strejk kolejowy trwa dalej. Dotychczas przywrócono tylko ruch osobowy. Ruch towarowy wstrzymany jest zupełnie, co naraża kupców na wielkie straty. Z powodu znacznego spóźnienia dzisiejszy pociąg jadący z Konstantynopola nie mógł ruszyć w dalszą drogę do Belgradu. Strejkujący mają otrzymywać z zagranicy subwencyę. Wczoraj wieczór odbyło się socyalistyczne zgromadzenie, na którem zaprotestowano przeciw stanowisku rządu. Rząd zawiadomił dyrekcyę kolei oryentalnych, że z powodu strejku koleje bułgarskie nie mogą przyjmować przesyłek towarowych.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 5 stycznia.

Marki 117.57, renta majowa 99.20, węgierska renta koronowa 96·10, akcye: austr. zakł. kredyt. 690·75, węg. zakł. kred. 841·00, anglobanku 317 75, unionbanku 577·00, bankvereinu 562·00, länderbanku 470·50, kolei państw. 691·00, lombardy 178 00, akcye kolei Elbethal 462·00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 432·00, alpiny 632.50, Rima Muranyi 575.00, prag. T. żel. 2695.00, losy tureckie 166 00 ruble 253.00. Usposobienie: słabsze.

5% renta rosyjska na r. 1907 86·05.

Warszawa. Listy zastawne 4½% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem 88.30. Listy zastawne 5% m. Warszawy — 85·50, takież 4½%—82.95.

Lwów 5 stycznia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.— Kolej dworsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 576.— do 581.—. Banku hipotecznego po 400 kor 572·00 do 580·00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 330.— do 400·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 160·—

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 110 50 do 111·20 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 50 do 101 20, 4 proc. los. w 60 lat 97 50. do 98·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 100 00 do 101·70. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 98.10 do 98 80.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98 80 do 00 00, 4 proc los w 41 i poł latach 98 80 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 98·20 do 98·90.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 99 60—100·30. Bukowińskiego fund propin. 5 proc. 102 00 do —·—. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 100.70 do 101 40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 97 50 do 98·20. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 pr c. z 1893 r. 98 00—98 70, miasta Lwowa 4 proc. 96 00 do 96 70, 4% bez podatku (konwers.) 98 10 98.80.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:
Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8·40***, 5.50*, 8·45, 5.25, 9.80*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50. 10,80*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2 05**, 7.00. 11.85, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20*, 1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.87.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 8.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:
Do Krakowa **8.25, 12.45*, 2.45**, 4.05*, 8.35, 6.55*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.85, 11.15, 6.87* 10.08*.
Do Czerniowiec: **2.51, 2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7·25 .
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.80, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 8.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Adolf Dygasiński.

PSIA DOLA.

Za rogatkami miejskiemi, pod płotem jakiegoś ogrodu, położonego w kierunku południowej strony świata, leżała wyżlica Norma, otulając ciałem swojem czworo szczeniąt, ślepych jeszcze prawie. Małe pieski co chwila chwytały pierś matki; ale z piersi tej nie zdołały wydobyć ani kropli mleka; ruszały się więc niespokojnie, wydając z siebie mruki niecierpliwe i skomlenie. A Norma nieustannie nadstawiała dzieciom swoją pierś próżną, w której one nadaremnie szukały posiłku. Powyłaziły przeto dzieci z pod matki — jedno za drugiem, niezdarnie toczyły się na swych nożynach; podeszły do rodzicielki z przodu, garnęły się do ust, do oczu, do uszu, zdawały się zapytywać:

— Matko, co to wszystko znaczy? Dałaś nam oto życie, a nie możesz nas utrzymać! Z głodu umrzemy!

Pies-matka smutnie popatrzyła na potomstwo, mrużyła oczyma i poczęła dziatwę kolejno a troskliwie lizać językiem. Może ona pragnęła głód swoich dzieci pieszczotą uśmierzyć. Powstała z miejsca, wyprostowała się, i stojąc, poddawała szczeniętom pierś swą do ssania. Rzuciły się do niej wszystkie, czepiały jej się jak pijawki, zawisły, szarpały ją, rozpierały się, ssąc i ciągnąc swą rodzicielkę. Norma była zwierzęciem wychudłem, zbiedzonem, sierść z niej miejscami zupełnie oblazła, trzęsła się, na nogach zaledwie ustać mogła, a na uszach jej i na szyi widniały wszędzie niezabliźnione rany, które w okółek obsiadały muchy. Dzieci, ssąc matkę w stojącej postawie, i teraz nie znalazły w jej piersiach mleka; poczęły więc ją kaleczyć, do krwi jej się dobierać; ale ona i krwi niewiele miała w sobie. Szczenięta, znużone licznymi a bezpłodnymi wysiłkami, legły wreszcie na ziemi, ułożyły się jedno na drugiem, i tak zwinięte jakby w jeden kłębek, zasnęły. Przez czas jakiś stała nad niemi matka, liżąc je i troskliwie obwąchując, niby kołysząc swoje drobne psięta. A kiedy sen już na dobre ogarnął potomstwo, ona sama puściła się w świat na żebraninę. Poszła pomiędzy ludzi... Gdzież pies iść może?

Wpadła do najbliższego domu w mieście. Tu ją rozkoszna jakaś woń doleciała; przeto stanęła pod drzwiami kuchni i stała biedna z pokorą żebraczki. Stała długo, aż jej się sprzykrzyło; lekko skrobnęła nogą w ludzkie podwoje. Drzwi się otwarły; wyjrzała stara jakaś kobieta z zakasanemi rękami, zapłoniona od kuchennego żaru, — widocznie kucharka. Spostrzegła psa i szpetnie zaklęła:

— No, nie bestya to jedna!.,. Puka do drzwi jak człowiek... A nie pójdziesz ty mi stąd, psia duszo!

I z temi słowy poczęła kucharka szukać na przypiecku pogrzebacza, aby skarcić zwierzę, które ośmieliło się do jej drzi przychodzić. Norma stała spokojna, osłabiona, chwiejna; zdawała się spojrzeniem błagać o jałmużnę. Kucharka, znalazłszy narzędzie kary, wypadła z niem na psa i uderzyła go po dwakroć. Pies nie uchodził, nie wydał skowytu, — jak gdyby ciosy owe nie były dla niego najcięższymi w życiu... Kucharka zamierzyła się raz jeszcze, lecz już nie uderzyła, tylko z przekleństwem okropnem zatrzasnęła drzwi od kuchni.

Niepewnym krokiem oddaliła się psia matka od niegościnnych progów i poszła dalej. Wstąpiła do innego znowu domostwa. Tutaj na dziedzińcu spotkał ją stróż domu, uzbrojony w miotłę, osadzoną na bardzo długim kiju.

— Jeszcze i ty psia wiaro będziesz mi tu zawadzała i bruździła!... — zawołał stróż, wymiatając siłą psa za bramę.

Norma wpadła teraz, pomięszana, do jakiegoś zajazdu, którego brama na oścież była otwarta, ponieważ właśnie zajeżdżała tam bryczka z gościem. Służący hotelowi już jej nie wygnali, bo mniemali, że pies należy do przybyłego gościa i przyszedł za bryczką. A gość wysiadł z bryczki i szedł pod numer, który mu wskazano. Norma poszła za nim i w ciemnym korytarzu legła pod drzwiami, w których gość ów zniknął. Czuła brak sił w sobie; nie mogła już ani stać, ani chodzić. Po niejakim czasie skrobnęła we drzwi łapą, wydając przytem z siebie jękliwy głos niepokoju. Gość drzwi otworzył — miał twarz jakąś rumianą, wesołą, sympatyczną. Kiedy spojrzał na psa, pies przyjacielsko, choć słabo merdnął ogonem.

— Na tu, piesku! — zawołał człowiek i wpuścił psa do wewnątrz. Norma zaledwie mogła przez próg się przewlec; weszła do izby, a sympatyczny człowiek rzucił jej jakieś resztki chleba i kiełbasy, któremi się właśnie raczył po odbytej podróży. Z chciwością i wielką żarłocznością rzuciła się psia matka na te specyały, ale szczęki, zęby snadź jej już wypowiedziały posłuszeństwo, bo jeść nie mogła, a pochwycony w usta pokarm wypadł jej z ust na ziemię. Popatrzyła na żywność, spojrzała gościowi w oczy z jakąś żałością, zachwiała się całem ciałem i upadła na ziemię. Nadchodziła dla Normy ostatnia chwila życia. Przypomniały jej się teraz oto drobne dzieci, które zostawiła pod płotem bez żadnej opieki, głodne. I ścisnęło się okrutnie serce matki, wydała jęk cichy naprzód, jak gdyby smutne westchnienie; potem podniosła nieco głowę i głosem jakimś rozbitym, urywanym, zawyła tak przeraźliwie smutno, że głos ten przestraszył gościa. Zadzwonił przeto ów człowiek, a kiedy przyzwał numerowego, rzekł:

— Zabierzcież mi stąd to zwierzę! Co za nieporządek w hotelu! Psy wałęsają się i niepokoją gości.

Na te słowa numerowy kopnął potężnie Normę, ale ona nie podniosła się, nie jęknęła. Służący przyniósł szczotkę do zamiatania i począł nią bić psa, wypędzając z izby. Uderzył kilkakrotnie, ale pies zdawał się być nieczułym na odbierane ciosy. Pochwycił więc numerowy Normę za ogon i wywlókł ją na korytarz; potem przyzwał stróża i polecił mu psa-przybłędę wywlec na śmietnik.

Teraz spokojnie na tyłach stajen, na kupie śmieci leżała bezwładna Norma; oczy mgła jej powlekła, z ust toczyła się piana... Kończyła życie, mając przed oczyma obraz dzieci, zostawionych bez opieki pod płotem ogrodu.

Ze stajen dolatywały głosy ludzkie; słychać było, jak konie żują owies, chrzęszczą łańcuszkami uzd, z za parkanu rozlegiwało się oszczekiwanie psów, swywolących po trawnikach. Z wnętrza śmietnika powyłaziły szare szczury; ostrożnie zbliżały się do konającej Normy, szybko poruszając wąsami i topiąc w niej swe małe, przenikliwe oczka.

Spojrzała ostatni raz w jasne słońce, drgnęła, i szczury zniknęły w kryjówkach. Po chwili ukazała się wielka liczba szczurów; wszystkie szły śmiało do Normy, która już nie żyła.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.